

# PARAFJA I SZKOŁA PARAFJALNA WŚRÓD EMIGRACJI POLSKIEJ W AMERYCE

JÓZEF CHALASINSKI - WARSZAWA.

STUDJUM DZIELNICY POLSKIEJ W POL. CHICAGO.

## 1. Południowe Chicago

Studjum moje dotyczy jednej dzielnicy Chicago, mianowicie South Chicago (Południowe Chicago). Dzielnica ta była początkowo samodzielnym miasteczkiem i dopiero w 1891 r. przyłączona została administracyjnie do Chicago. Pod względem ekonomicznym i społecznym wyraźnie wyodrębnia się jednak; posiada charakter „miasteczka stalowego” (steel town). Z Loop'em (handlowe centrum Chicago), oddalonym 12 mil ang.. połączona jest liniami tramwajowymi i koleją elektryczną Illinois Central Electric, która przebiega tę przestrzeń w pół godziny.

South Chicago przylega na wschodzie do wielkiej stalowni Illinois Steel Company, położonej nad jeziorem Michigan w miejscu, gdzie wpada rzeka Calumet River. Mieszkali tu kiedyś Indianie, a pierwszy biały człowiek osiedlił się tutaj dopiero w 1830 r.

Na zachodzie dzielnica przechodzi w rzadziej zabudowane „prerje” i ograniczona jest ulicą So Chicago Avenue, biegnącą od ujścia Calumet w kierunku północno-zachodnim wzdłuż dawnego szlaku indjańskiego. Na południu graniczy z robotniczo-imigranckimi dzielnicami, a na północy z zamożną dzielnicą amerykańską.

Najstarsza ulica handlowa dzielnicy (Harbor Avenue). ciągnąca się wzdłuż rzeki Calumet, poczynając od jej ujścia, założona została w 1871 r. z rozwojem dzielnicy rolę centra handlowego ustąpiła ulicy 92-ej, a sama zdegradowana została do roli lokalnego ośrodka przestępczości i prostytucji.

Całą tę dzielnicę zamieszkiwało w 1930 r. 56 583 mieszkańców, z czego 36,62% to ludność polska (tj. urodzona w Polsce, wraz z pokoleniem urodzonych już w Ameryce z rodziców Polaków).

Polacy, którzy stanowią tu tak duży procent, i posiadają cztery swoje parafie, a przy nich parafialne polskie szkoły, nie są równomiernie rozmieszczeni po całej dzielnicy. Najgęściej zgrupowani są przy samej stalowni, w której pracują. Na najbliższych więc ulicach, przy samej stalowni położonych stanowią od 52,25% do 65,55% ogółu ludności. Dalej zaś o kilka ulic na zachód od stalowni w dzielnicy murowanych domków zamożniejszych reprezentują 39,52%, a jeszcze nieco dalej na zachód już tylko 4,79%, podobnie kilka ulic na północ procent ludności polskiego pochodzenia wynosi tylko 2,57%; a kilka ulic na południe 3,82%.

Ulice najbliższej stalowni położone, zamieszkałe w tak olbrzymiej większości przez Polaków, należą do najuboższej części dzielnicy. Jest to polska parafia Św. Michała, zwana także w potocznym języku Bush'em lub „kierzkami” od krzaczków, które tutaj nad brzegiem jeziora pół wieku temu rosły. Zabudowana przeważnie drewnianymi domami, ta część dzielnicy zachowuje do dzisiaj najwięcej „starokrajskich” tradycji. najmniej uległa zamerykanizowaniu i najmniej ma naturalizowanych obywateli

amerykańskich. W r. 1920 Bush miał 28.65% obywateli wśród emigrantów w wieku 21 lat i wyżej, a w 1930 r. — 31.79%.

Bush należy do najgęściej zaludnionych części dzielnicy. Na paru ulicach przy samej stalowni na akr kwadratowy wypada 75—100 osób; nieco dalej na zachód : 50—75 osób, a jeszcze dalej 25—50 i 0—25. Tylko 10% mieszkań należy do kategorii 30 dol. i wyżej czynszu miesięcznego; podczas gdy zaraz na następnych kilku ulicach, dalej na zachód, do tej kategorii należy 70% mieszkań; a jeszcze dalej na zachód — przeszło 92%. 31,2% rodzin w Bushu ma aparaty radiowe: następne ulice na zachód 57,36%, a dzielnica zame-rykanizowana, niemiecko-szwedzka — 88,18%.

Zaznaczyć trzeba, że cała ta dzielnica polska, położona na południowej stronie Chicago nie posiadała nigdy tak silnie rozwiniętego życia narodowego polskiego, jakie cechowało wielką dzielnicę polską, położoną na północno-zachodniej stronie miasta i ciągnącą się wzdłuż Milwaukee Avenue (zwanej przez robotników polskich Miłwałki). Dzielnica ma wprawdzie silne lokalne oddziały Z.N.P. i Zjednoczenia Polskiego Rzym.-Kat., nie ma jednak biblioteki polskiej, jak również nie ma w niej związków grupujących emigrantów z sąsiednich okolic; takie związki sąsiedzkie są bardzo liczne w północno-zachodniej dzielnicy polskiej. W całym Południowym Chicago Bush zachował najwięcej przeniesionych z kraju tradycji, i najwięcej ofiarował na 10-milionowy Fundusz dla Polski.

Południowe Chicago ma dwie lokalne gazety: dziennik drukowany po angielsku „Daily Calumet” (zał. około 1880 r.) i tygodnik polski (drukowany w formie gazety) „Polonia” (zał. w 1906 r.).

## **2. Początki kolonji polskiej.**

Najstarsza parafia polska w tej dzielnicy, Parafia Niepokalanego Poczęcia powstała w 1882, a według ustnie przekazanej historii parafii około 1873 r. było tutaj zaledwie 7—8 rodzin polskich. Znaczną część obecnej dzielnicy pokrywały jeszcze wówczas bagna, a tam, gdzie obecnie idzie część głównej lokalnej arterii handlowej, Commercial Avenue, „Main Street” Południowego Chicago, polowan w najlepsze na kaczki. Dopiero z założeniem stalowni w 1881 r. rozpoczyna się rozwój Południowego Chicago, które do tej daty było miejscowością rybacką i farmerską. Rozwój ten wiąże się ściśle z napływem polskich emigrantów do stalowni.

W tym przełomowym dla SoChicago roku dzielnica ta, licząca obecnie zgórą 50 tys. mieszkańców, zaledwie rozpoczynała swoją egzystencję. „Wówczas — opowiada stary postmaster, który przybył tutaj w 1881 r. jako chłopiec — można było stanąć na rogu i policzyć wszystkie domy w Poł. Chicago... Mieszkali tu Anglicy, Walijczycy, Niemcy i trochę polskich rodzin, wszystkiego razem znacznie mniej niż sto rodzin.

Polska kolonja tworzyła się tutaj w sposób swobodny i bezplanowy. Często nie pytano nawet do kogo należała ziemia, na której budowano domki. I nierzadko właściciel zgłaszał się dopiero później. Budowano bez planu i jak się komu podobało i dopiero w kilkanaście lat później władza zarządziła przesunięcie domków i ustawienie ich w jakiś porządek, ażeby i dla parku zrobić miejsce.

Początkowo też była to społeczność głównie kawalerska. Wyjeżdżali sami mężczyźni na zwiady. Ściągali następnie krewnych i sąsiadów. Obecnie jeszcze wśród emigrantów powyżej lat 21 liczba mężczyzn znacznie przewyższa liczbę kobiet. W Bushu w 1930 r. na 2 167 „foreign born white” w wieku 21 lat i wyżej mężczyźni stanowili 1 251 (w tym 210 kawalerów), a kobiety 916 (w tym 37 panien). Pomiędzy tu Meksykańczyków, wśród których, jako najnowszej emigracji, przewaga mężczyzn jest jeszcze większa. Wśród nich liczba mężczyzn jest dwukrotnie wyższa niż kobiet.

O początkach dzielnicy i jej pierwszych polskich mieszkańcach opowiadają jeszcze starzy mieszkańcy. „To tu tak było. że ojciec jak przyjechał to świnie z miasta na piechotę gonił, bo żadnych karów (tramwajii) jeszcze nie było. Jeno zwyczajne drogi. A w fabryce to brał 1 dolara, albo 1 dolara i 15 centy, to nie było wiele za 10 godzinów pracy, ale i ceny były bardzo niskie. 3 fonty nyrek kosztowało 1 cynt; a cały miesiąc to żył za 7 talary (dolary), jak brał na książkę na samego siebie, ale jak we czterech, to wyszło dużo tani, bo jakie 4 talary na każdego na miesiąc. To jak mój ojciec wzion 25 talary na miesiąc, to z tego 15 wystął do kraju, a przecie i wypoil także. — Ale to ja już sam pamintam jak uni tu mieszkali, 20 chlapa w jednym roomie (pokoju), dziesięć pracowało na dzień a dziesięć na noc, to jak się pokładły na zimi, to tak jak szczury jeden kolo drugiego leżeli. A ta kobita to gotowała im w taki wanince, saganie od prania, i jak ugotowała to każdemu to jego mięso na kijku dała — to był jego font. — To tu na początku to tych kobit to było bardzo mało do żyniaczki. jeno same chlapy. To jak się który zwiedział, że drugi ma siostrę w kraju, to jeno tak kolo niego chodził a fundował mu, żeby się mógł z tą jego siostrą ożynić. To niejeden szyfkartę kupił i sprowadził ją na swój koszt, a ta jak przyjechała, to jeno mu dupę pokazała i poszła do stokjardów na robotę. Ale i niejeden się tak ożynił. Nikt to wtynczas nie stojał o to czy on jo znał czy nie, jak jeno guzik przyszyła to już było dobrze, wincy nie trza było.”

Familijno-sąsiedzki sposób rekrutowania się kolonistów spowodował, że do kolonii napływał głównie element, który był nie tylko etnicznie jednorodny, ale pochodził z jednych okolic. Napływała tu ludność głównie z Kujaw (tak spod zaboru pruskiego, jak i rosyjskiego). Bismarkami i Ruskami zwali się wzajemnie przybysze spod obydwóch zaborów. Bardzo niewielu pochodziło z Galicji.

Porządek społeczny, jaki się tu zaczął wytwarzać wyrastał z tych treści społecznych: zwyczajów, obyczajów i pojęć moralnych i organizacyjnych, które ze sobą i w sobie przynieśli. Władze amerykańskie nie narzucały im się z opieką, pozostawiały ich samym sobie. Odtwarzano też możliwie wiernie wzory społeczne przeniesione z wiejskiego, sąsiedzkiego życia.

Pierwotnie też osada przypominała raczej polską wioskę, niż amerykańską osadę przemysłową. „Domy to były takie gorsze jeszcze, jak kurniki po dworach”. „Każdy to se jeszcze krowy trzymał, kurów to tu było zatrzynsienie, niektórzy tyż mieli po 50 kaczków. A w niedziele to muzyki grali, i wesoło tu było”.

### **3. Pierwsze instytucje społeczne.**

Jedną z pierwszych instytucji nowo powstającej osady imigranckiej była karczma. Do karczmy kierowały się pierwsze kroki nowego przybysza ze starego kraju: tułaj bowiem spotykali się z krewnymi i znajomymi i korzystali ze świałłej rady karczmarza obytego najlepiej z lokalnymi stosunkami.

„Tu na całe to South Chicago to wtedy był jeden policyjant. A lampy to jeszcze były kerasyne. To jak w saloonie (karczmie) spierać się zaczęli o dziewczę, to jeden lampę rozbił, nóż tymu drugiemu u w brzuch wcisnął i flaki wypruł, salooniarz nic nie powiedział i się nie wydało. Salooniarz to była tu najwładsza władza.”

„To jakem tu przyjechał na dypa (stację kolejową) — opowiadał inny, starszek mieszkający w osadzie od 12 lat — to nie wiedziałem gdzie się podziać, to się pytał jednego gdzie je ten, a tyn, co był mój znajomy. To on nie wiedział, ale mi mówił, że bym się do saluniarza, to on mi powi, bo oni się tam wszystkie schodzą.”

Karczma była dla osady nie tylko „urzędem meldunkowym”, miejscem zebrania, zabawy, lecz i bankiem. U karczmarza bowiem inkasowano czekiny otrzymywane za pracę.

Wkrótce po zebraniu się małej gromadki rodaków, przeważnie sąsiadów z tej samej okolicy w kraju (początkowo głównie z Poznańskiego), utworzyło się towarzystwo religijne i wzajemnej pomocy Św. Wincentego a Paulo w Pol. Chicago. Następnie założone zostało Tow. Bratniej Pomocy Króla Jana III Sobieskiego; później Legion Św. Jozafata; Tow. wzajemnej pomocy Jana Kilińskiego; Tow. im. T. Kościuszki; Związek Braci Polaków (r. zał. 1900). Wszystkie to były tow. wzajemnej pomocy, które zajmowały się pogrzebem: płaciły pośmiertne, a nawet i zapomogi tygodniowe w czasie choroby.

Staraniem najstarszego towarzystwa św. Wincentego założona została pierwsza parafia w dzielnicy — Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marji Panny. Według księgi Jubileuszu 50-lecia istnienia Parafii N.P.N.M.P., w 1882 r. (rok założenia parafii) było już w dzielnicy około 70 rodzin polskich.

W 10 lat później w 1892 r. kolonia polska już się tak rozrosła, że od tej parafii macierzystej nie bez silnego sprzeciwu z jej strony, oddzieliła się część i utworzyła parafię Św. Michała Archanioła. Następnie powstały jeszcze dwie nowe parafie Św. Magdaleny (zał. 1910) i Św. Bronisławy (zał. 1929), tak że obecnie dzielnica ma 4 polskie parafie i cztery szkoły parafialne. W r. 1932 szkoła parafialna Św. Michała Archanioła miała 1725 dzieci; szkoła N.P.N.M.P. — 1029; szkoła Św. Magdaleny — 850 i szkoła Św. Bronisławy — 167.

#### **4. Parafia w życiu zbiorowym kolonji.**

Parafii musimy się przyjrzeć bliżej. Jest to bowiem forma społeczna o zasadniczym znaczeniu dla zbiorowego życia kolonii polskiej w Ameryce. Przenika ona wszystkie sfery życia zbiorowego; jest zasadniczą, naczelną grupą społeczną i podstawowym stereotypem myślowym, przy pomocy którego emigrant myśli o zbiorowości — o sprawach społecznych wogóle, o samym sobie. Ze stereotypem „parafji” kojarzy się nierozłącznie jego poczucie wartości, jego poczucie godności. Rozpatrzmy więc zasadnicze funkcje społeczne parafii i właściwości jej struktury.

1. Parafia jest organizacją wspólnego, zbiorowego kultu religijnego. Kult ten zajmuje w życiu zbiorowym polskich robotników centralne miejsce. Znikły wprawdzie wioskowe odpusty, ale czterdziestogodzinne nabożeństwo, nowenna, przyjmowanie Pierwszej Komunii Świętej przez dzieci szkolne, pogrzeb, misje -

w dalszym ciągu należą do najważniejszych wydarzeń kolonii. Kult ten zachował charakter zbiorowy — jest sprawą całej grupy. U podłoża tej religijno-parafialnej więzi, leży jeszcze, choć już mocno nadwyreżone, przekonanie o zbiorowej solidarnej odpowiedzialności całej parafii wobec Boga. Inteligentny robotnik z parafii Sw. Michała zakończył swoje opowiadanie o rozpuszcie, jaką widział w jednym z klubów amerykańskich, zdaniem: „Gdyby u nas w kolonii coś podobnego działo się, to byśmy się bali, aby kara Boża na całą kolonię za to nie spadła”.

W hierarchji społecznej stanowisko księdza należy do najzaszczytniejszych. Michałowo dumne jest z tego, że żadna parafia w So Chicago, nie wydała tyle księży. „Nasza parafia to bituje inne.” „Żadna parafia się tak nie szczyci jak nasza: z naszy najwiny księży wyszło”. „Ten nasz kościół to całe SoChicago zdoła.” Wyświęcenie nowego księdza, należy do największych uroczystości kolonii. Na uroczystym obiedzie prymicyjnym ks. Z. z parafii Sw. Michała zebrało się, jak podaje Polonia, około 600 osób.

Uwzględniając tę bogatą treść społeczno-religijną parafii, łatwo zrozumieć, że i nazwa parafii nie jest sprawą obojętną. Święty, którego parafia wybiera sobie za patrona - jest dla parafian nie tylko symbolem, bogatym w skojarzenia, lecz realną istotą, która ma pośredniczyć pomiędzy parafią a Bogiem i roztaczać nad parafią opiekę. Nie obojętne jest więc, jaki święty będzie parafii patronował.

Przyjęcie nazwy dla najstarszej w dzielnicy parafji N.P.N.M.P. — poprzedziła walka o świętego patrona dla parafii. „Członkowie... Towarzystwa Sw. Wincentego a Paulo — czytamy w Księdze Złotego Jubileuszu Parafii N.P.N.M.P. - pragnęli ją mieć pod swojego świętego wezwaniem, a uczestnicy zaś innego stowarzyszenia, młodszego od pierwszego, ale już wówczas liczniejszego i silniejszego, mianowicie Tow. Św. Jozafata chcieli koniecznie mieć pod swego patrona opieką. Zdawało się chwilowo, że sporom nie będzie końca, jedni drugim ustąpić nie chcieli, udano się ostatecznie ze sprawą do ks. Proboszcza. Po przesłuchaniu obydwóch stron przez ks. Proboszcza i komitetu ad huc wybranego doszli do przekonania, aby przedmiot sporów usunąć i oddać parafię pod wezwanie i opiekę Niepokalanego Poczęcia Najsw. Maryi Panny; na to ostatecznie ogół się zgodził.”

Siłę więzi parafii jako grupy zbiorowego kultu religijnego potęguje fakt znajdowania się wśród obcych — na obczyźnie. W przeszczepionym na obczyznę kulcie religijnym skojarzone jest nierozdzielnie to wszystko, do czego w kraju emigrant był przywiązany: okolice rodzinne, groby pozostałych krewnych i krewni żyjący. Kościół jest dla emigranta polskiego symbolem wszystkiego, co rodzinne. Patron parafii, to ten ich patron ze starego kraju, z ich okolicy. Dzwony kościoła parafialnego, wydzwaniają dzień w dzień Anioł Pański, tak samo tutaj na obczyźnie, jak w starym kraju. Przywiązania do ziemi i okolicy rodzinnej, nie potrafiły zerwać ani dobre zarobki amerykańskie, ani pamięć niedoli chłopskiej. Najdrobniejsze pamiątki przypominają mu tę ziemię. Dzwony na Anioł Pański zastały ninie raz na rozmowie z tymi robotnikami. Było lato. Rozmowa nam się urwała, a jeden z robotników odezwał się: „Kiedy tak te dzwony dzwonią, to jakby sianem w powietrzu pachniało.” I rozmowa nasza zeszła na siano, na zboże — gdzie w jakiej okolicy było lepsze - na dziedzica.

Parafja, to dla robotnika-emigranta część starego kraju. Część tego z czem czują się związani całą swoją osobowością. Ta część musi im zastąpić wszystko, co zostawili, staje

się symbolem wszystkiego, co ich było, a od czego musieli odejść. Nic też dziwnego, że rola parafii w psychice emigranta rozrosła się do rozmiarów tak wielkich, w jakich nie występuje w najbardziej zapadłych wioskach Polski. Zajmuje w tej psychice tak nieproporcjonalnie dużo miejsca, że z siły dobroczynnej, staje się dla emigranta — szkodliwą, utrudniając mu przystosowanie się do nowych warunków życia i walkę o lepsze miejsce dla siebie w społeczeństwie amerykańskim.

2. Parafia jest grupą „swoich”. W tradycyjną, przeniesioną z kraju formę parafii zamknięta została nie tylko treść religijna, ale wszystkie wspólne wartości społeczne, które emigranci przynieśli ze sobą. Parafie narodowe w Ameryce — także i polska — nie są tworami terytorjalnymi w głębszym rozumieniu, w jakim są niemi parafie w Polsce. Parafię emigrantów wiąże wspólność wartości, które są przeniesione a nie znajdują oparcia, ani w terytorium, ani w instytucjach szerszego amerykańskiego społeczeństwa. Bodźcem do zawiązania parafii są nie tylko motywy religijne, ale instynktowe dążenie „swoich” do skupienia się.

W Polsce parafia jest pewnego rodzaju nadbudową nad terytorjalno-sąsiedzką więzią wsi. Ziemia i oparte na niej stosunki ekonomiczne istnieją niezależnie od tego, czy istnieje parafia. Wśród emigrantów tworzenie się parafii jest przejawem dążenia do odbudowy tej tradycyjnej formy bytowania zbiorowego, jaką jest sąsiedztwo. Krewny—krewnego, sąsiad — sąsiada ściągają do Ameryki, zamieszkiwali obok siebie, tworząc kolonie z ludzi z jednej okolicy – „Jak jeden przyjechał, to popóźni bratu lub siostrze szyfkarce posłał i tak my się tu wszyscy posprowadzali.”

Zebrawszy się razem, tworzyli parafie, nie tylko dla religii, ale w instynktowym dążeniu do wzmocnienia tego związku rodzinno-sąsiedzkiego, który przeniesiony na obczyznę, oderwany został od ziemi ojczyznej i stracił naturalną swoją podstawę.

Parafia — piszą Thomas i Znaniecki w odniesieniu do parafii emigrantów polskich — jest istotnie prosto dawną pierwotną społecznością (primary community; zreorganizowaną i skoncentrowaną. W swojej konkretnej całości zastępuje ona zarówno węższą, lecz bardziej zwartą, wioskę, jak i rozleglejszą, lecz bardziej rozproszoną i nie tak wyraźnie określoną, okolicę. W swojej zinstytucjonalizowanej organizacji pełni te funkcje, jakie w Polsce spełnia parafia i gmina.”

„Pokrewieństwo” jest podstawą społeczną parafii. Parafia ma być rozszerzoną rodziną. Rodzina jest też jej najważniejszym fundamentem. Parafia stoi na straży autorytetu rodziców, na straży przywiązania dzieci do rodziców, na straży jedności rodziny. Rozgałęzione stosunki rodzinne są podstawą silnej więzi parafialnej. Nic brak ich też w naszych parafiach. Małżeństwo jednego z najstarszych osadników w Pol. Chicago K., liczy obecnie 150 potomków.

Religijno-parafialna działalność polega wszak na rozszerzaniu tej więzi rodzinnej: tworzy ojców chrzestnych, a przez swoje bractwa: braci i siostry.

Element rodzinny, stały i nieruchliwy, stanowi podstawę parafii. Łatwo też zrozumieć niechęć do elementów kawalerskich, zmieniających miejsce pracy i zamieszkania — roartników. Jednemu z wybitnych i zasłużonych księży przypisują w parafii powiedzenie: „Wolałbym diabła zobaczyć, jak tego wszorza borciarza”.

Tworzenie parafii było dyktowane instynktowym dążeniem do skupienia się swoich, do trzymania się razem. Potęgował je lęk przed zgubieniem się w obcym morzu. Czemże bowiem stawał się emigrant, bez tej grupy swoich? Najemnikiem, wartością ekonomiczną na rynku pracy, istotą bez znaczenia społecznego, z którą nikt się nie liczył. Dopiero w parafii, w grupie swoich nabierał znaczenia. Z siłą tej grupy wiązało się jego poczucie wartości i mocy.

Im więcej polskich parafii, im one są większe i silniejsze, tym większe jest znaczenie parafian. Stąd zrozumiała jest reakcja przeciw porzucaniu parafii polskich przez Polaków.

Chicagowskie zrzeszenie kapłanów polskich, Pierwsza Grupa Zw. Kapłanów Polskich w St. Zjedn. w r. 1928 powzięło następującą uchwałę: „Ubolewamy nad objawem coraz to częściej dziś się powtarzającym, że nasza inteligencja, która wyrosła w naszych polskich parafiach i w naszych parafiach dorobiła się majątku i na swoich rodakach wzniosła się na wyżyny wpływów politycznych i od tych rodaków jeszcze nadal domaga się poparcia, dziś te parafie polskie opuszcza, dzieci swoje nie wychowuje w tradycjach polskich i nie dba o przyswojenie dzieciom języka swych ojców: ślubuje w kościele nie polskim; chowa się z kościoła niepolskiego; popiera parafie niepolskie, a zostawia trudności w utrzymywaniu tych ostoji tradycji i naszych ojców najbiedniejszym z naszego ludu; nie pomagają ani parafiom polskim, ani też sierocińcowi polskiemu, który otrzymuje tylko pewien procent dochodu z ofiar, złożonych na dobroczynności katolickie jedynie w kościołach polskich... zaraźliwa choroba opuszczania swoich, żywotne sity naszej Polonji Chicagoskiej zupełnie zrujnuje.”

(—) Ks. F. Feldheim, sekretarz.

Równocześnie parafia broni się przed innym niebezpieczeństwem, które zagraża jej sile i jedności: przed inwazją obcych elementów (przez mieszane małżeństwa katolickie różno-narodowe). W parafii Św. Michała istnieje zasada, że z zawarciem takiego małżeństwa, parafianin musi się przenieść do niepolskiej parafii katolickiej. Parafia zamyka się przed obcymi, chce zostać grupą swoich.

Poza parafiami swoich zaczynają się już „Żydy i masony”. „Żydostwo i masuny runują (rządzą) stalownią”. „Żydostwa tam tego pełno, co te większe stanowiska zajmują, to oni się tam popierają, ale Polaków to usuwają”. I oni też „runują” całą Ameryką.

Oni leż demoralizują Polaków. W baptyślicznym settlementie są według udzielonej mi przez robotnika informacji „same Poloki, ale żydostwa słuchają, bo na tę naukę, co oni mają, to przychodzi jaka żydówka czy angielska. Co oni się tam uczą, to ja nie wim, ale wim, że im coś tam z książków czyta. Także tym dzieciom to mliko dają. A na wieczór to się tam znów starsze schodzą chłopcy i kobity do kupy i cudzołóstwo uprawiają, to taki krzyk robiom, że już trudno wytrzymać. Ja wam powim, że te Polaki to ze wszystkich narodowości najłatwi sie ogłupolać dadzą i najwincy tych nowych wiarów na-wytwarzają.”

Kiedy zaintrygowany powszechnem używaniem określenia „Żyd” dla obcych bez różnicowania, zapytałem, co rozumieją przez to, odpowiedziano mi: „Wszystko, co nie Polak, to są Żydy”.

## 5. Życie towarzyskie parafii

„Jak była ta robota to robotnicy znali drogę z dumu do fabryki z fabryki do dumu, a tera jak roboty nima, coby się mógł rozweselić (bo ma czas), to znów pinindzy nima. to jeno z dumu do tego parku i spowrotem. I to tak je.”

Ale w życiu parafialnem były i lepsze czasy. „Dawni jak te saluny były otwarte... to pełno było naroda w salunach i muzyka nieraz była. A jak to ten dzień przyszedł, nie pamiętam, jak to nazywają (miał na myśli Thanksging Day) to grali w kości na indyki i ten, co wygrywał to dostawał indyka, albo gęś, albo kaczkę... Saloony były pootwierane, to się tam najadł. Zapłacił za wiski czy za piwo to ten luncz to miał za darmo. Minso było świeżo gotowane, niektórzy to trzymali specjalnego kucharza. To niejeden do domu nie szedł na kolację jeno do salunu, bo lepi smakowało.

„Co to za czasy byli. Jak tylko żem przyjechał (1910), to w parę dni się żył ten, co to koło mnie siedział. Jaka to zabawa była. A na weselu to musiało być conajmni 16 par przybocznych, wszystko w bieli. I to szli kujawiaki i krakowiaki i wszystko polskie tańce.”

Na weselu syna robotnika X. w 1925 r. (według informacji rodziców) było 250 gości. Zjedzono 12 tuzinów kur. Pieczywo kosztowało 50 dolarów. Były cztery kucharki i zmywaczka. Czterech muzykantów grało całą noc (za 85 dolarów). Wódka i napoje kosztowały 155 dolarów. Całe wesele bez ślubu kosztowało 1200 dolarów. Na czepek zebrali na weselu 1500 dolarów.

Urodziny, chrzciny, imieniny, wesela, jubileusze rodzinne i pogrzeby, to najważniejsze wydarzenia życia parafialnego. Jak w grupie sąsiedzkiej, tak i tutaj ludzie podają sobie z ust do ust wiadomości osobiste, a i tygodnik lokalny zawdzięcza swoją popularność tym właśnie funkcjom plotkarskim. Są wprawdzie towarzystwa, ale starzy należą do nich głównie dla ubezpieczenia. Rok rocznie *Polonia* podaje sprawozdanie z nowych instalacji, czyli wyborów zarządu, i na tem kończy się przeważnie zainteresowanie towarzystwami u członków. Młodszy mają towarzystwa śpiewackie, ale przede wszystkim sport. Ale sport to nie jest już dziedzina polskiej parafii: dział sportowy drukuje się nawet w *Polonii* po angielsku; zajmuje on tu jednak niewiele miejsca, jest prawie całkowicie zmonopolizowany przez angielski *Daily Calumet*. Młodzież czyta ten dziennik, starzy *Polonię*. „Jak gramy — mówił N.. grający obecnie z klubem Brandon Speed Boys, a dawniej członek „Świętych Michałów” — to zawsze w *Daily Calumet* je opis i pikczery dawają. i jak ja raz wygrał, to i mój pikczery chcieli wziąć, ale ja nie chciałem. Ja się nigdy odebrać nie chciałem od maleńkości.”

*Polonia* jest organem miejscowej elity towarzyskiej. Z niej dowiadują się znajomi o wydarzeniach rodzinnych i towarzyskich. Niech kto z elity wstępuje w związek małżeński, a *Polonia* na frontowej, lub najdalej na drugiej stronie drukuje sążniste sprawozdanie ze ślubu i wiadomość, że „Młodzi państwo udali się w podróż poślubną automobilem do Hol Springs” lub innej miejscowości.

Rzadko jednak o taką uroczystość jaką był ślub kuzyna redaktora naczelnego *Polonii*, na którym zebrała się elita *So Chicago*.

„Ślub p. U. z panią A. H. — czytamy w *Polonii* z dn. 22. XI. 1928 — w środę, dn. 21-go b. m. o godz. 5-ej wieczorem sprowadził do kościoła N. P. N. M. P. bardzo liczny zastęp gości i wiernych.

Na wstępie do kościoła marsza weselnego dla młodych państwa odegrał p. J. J. na skrzypcach z towarzyszeniem organu miejscowego organisty p. F. Sz. Ceremonii ślubnej dokonał ks. W. P., miejscowy asystent i przyjaciel rodziny B.; w sanktuarium też był obecny ks. J. M., prob. par. Sw. Stanisława BM.

Cudnie na chórze śpiewała „Veni Creator” sympatyczna solistka panienska G. M. — obligato na skrzypcach grał p. J. J., „Ave Maria” (Rosewig) silnym tenorem odśpiewał brat nowożeńca, p. J. B.

Nastrój w kościele był uroczysty — zewsząd biła radość, rozpromieniało wszystkich wesele — to też gdy pp. S. J. i A. B. wyszli z kościoła zaczęły się sypać życzenia — otoczyło ich kołem kilkaset ludzi. Łzy radości i wdzięczności rosły lica szczęśliwej a dobranej pary.

Wieczorem o godz. 7-ej w klubie Windsor Shorc, przy 75 ul. i Yates Ave zebrało się przeszło 230 gości weselnych.

Zasiedli do kolacji weselnej w dwóch oddzielnych salach, gdyż niemożliwością było aby wszyscy mogli pomieścić się nawet w najobszerniejszej tam sali. Inwokację przed kolacją wypowiedział ks. W. P.

Po kolacji program mów otworzył redaktor „Polonii” i kuzyn nowożeńca. W słowie wstępnym określił on piękne zalety charakteru młodych państwa i z kolei powołał adw., który zna pana młodego od lat chłopięcych. Przemówienie swoje przeplatał humorystycznymi epizodami z dawnych lat ich koleżeńkiego współżycia.

Pani K. S. O. w języku polskim snuła życzenia dla młodych i też wspominała o długich latach bliższej znajomości z młodym państwem.

Tow. Śpiewu im. Bol. Dembińskiego sprawiło niespodzianki: swemu koledze i wystąpiło ze śpiewem, który tak się zebranych podobał, że aż trzy razy musieli śpiewać. — Serdecznie też przemawiali księża.

Ob. I. .V z Chicago jako długoletni znajomy nowożeńców składał serdeczne życzenia.

Następnie życzenia składali: A. L. B., sekr. So Chicagoskiej Izby Handlowej, kapitan policji C. i adwokat M. W. O. Toastmistrz przedstawił tedy zebranych wybitnych obywateli tutejszych i pozamiejscowych.

W końcu nowożeńców p. S. B. w serdecznym słowie dziękował we własnym i żony imieniu za tak hojne wyrażenie dla nich uczuć.

Nowożeńcom telegramy nadesłali krewni i znajomi z Chicago, South Bend, Milwaukee i Detroit.

Pod koniec wieczoru przybył na salę p. Mojica, sławny tenor z opery chicagoskiej by złożyć też życzenia. Znakomitość tę goście jeszcze obecni powitali huraganem oklasków. Pan Mojica prześlicznym, bogatym, cudnym swym tenorem dla obecnych odśpiewał kilka pieśni, słuchali goście, wsłuchiwali się a artysta — porwał ich, uniósł w stropy artyzmu, pieścił ich uszy, sercem za serce płacił.

Goście bawili się do późnej pory przy dźwiękach orkiestry braci U.”

Dłuższe lub krótsze sprawozdania (zależnie od społecznej i towarzyskiej pozycji osób) z jubileuszów rodzinnych stanowią również stałą część „Polonii”. Na bankiecie w sali parafialnej Sw. Marji Magdaleny urządzonym przez przyjaciół i znajomych z okazji 25-lecia pożycia małżeńskiego pp. M.S. i P.F., jednego z wybitnych działaczy miejscowych, zebrało się około sześciuset osób. Jubilatów powitano „Marszem Weselnym”. „Podano — pisze Polonia — naprzód kolację składającą się z kilkunastu dań; kuchmistrem był p. L. Mowa ks. F. M. W, proboszcza parafii N. P. N. M. P. była nader rzeczową i zastosowaną do okazji.” W upominku od zebranych otrzymali pp. F. srebro stołowe i pektolator. „Tańczono do orkiestry braci U.” Szczegóły o kolacji znajdują się

prawie zawsze w sprawozdaniach. Czasem przy tem, wykwinną „kolację urządzają znajomi jako „niespodziankę”.

Również wyjazd, albo powrót do domu z podróży daje powód do zabawy i sprawozdania w „Połonii”. Oto w domu pani M. L. akuszerki urządzono zabawę na przyjęcie przybyłych z Florydy państwa M. Podano „znakomitą kolację” do której zasiadło 36 osób. Syn gospodyni, którego p. M. jest chrzestną matką, przemówił pięknie i wręczył państwu M. cudny kosz kwiatów. Piękny bukiet wręczyli p. F. i M. B. „Następnie został mianowany toastmistrzem p. A. R., przemawiali pp. M. młodszy i starszy. — Pp. M. opowiedzieli nieco szczegółów o pobycie we Florydzie”. „Następnie rozdano panom cygara, a paniom małe bukietki kwiatów.”

Tak samo wielkie bale polskie są uwzględniane. Na bal Polskiego Stow. Dobroczynności w Hotelu Stevens „największym obecnie hotelu w świecie” — blisko 3 000 osób przyszło. „Stroje i toalety pań odznaczały się niezwykłą wytwornością i zwracały powszechną uwagę, zaś szczególnie licznie wystąpiła najmłodsza generacja polsko-amerykańska, uderzając oczy bezstronnego widza swą urodnością i znakomitą układem w zachowaniu.”

Bardzo uroczyście i z wykwinną kolacją święcone było również 15-lecie istnienia Tow. Św. Stanisława Kostki.

„W poranek zeszło-niedzielny członkowie-jubilaci przystąpili in corpore do Komunii Świętej podczas Mszy świętej odprawionej na ich intencję w kościele Św. Michała Arch. — Wieczorem zaś zebrał się w sali gustownie przybranej w narodowe kolory amerykańskie i polskie. Było obecnych około 200 uczestników uroczystości. Na sali do stołów białymi obrusami nakrytych, z których odbijały się systematycznie poustawiane naczynia, zasiedli goście. Biesiada była przepyszna a przy odgłosie trio muzycznego. — fletu, skrzypiec i harfy z orkiestry J. bawiono się i zjadano potrawy następujące: Oliwki, Korniszony, Buraki, Kompot owocowy, Zupa pomidorowa, Pstrąg pieczony au gratin, Młody indyk pieczony, Sos z Żórawin, Bite kartofelki, Zielony groszek, Sałata z ogórków. Sos francuski, Lody, Ciastka francuskie, Kawa.

Nastrój panował wśród wszystkich wspaniały. Panie przybrane były w biel odświętną, panowie we frakach i „tuxedo” marynarkach — sala rześmiście oświetlona, zieleń na stołach, bukszpany i palmy na estradzie - wszystko to jedną uroczą całość nadawało chwili. Gdy się już wszyscy pokrzepili, języki się rozwiązały...”

Parafialne „society” ma swój *savoir-vivre*. Zbieranie książek nie należy do zwyczajów parafialnycli i poza „Żywotami Świętych” rzadko spotykałem bibliolekę, za wyjątkiem drobnej bardzo garstki inteligencji. Raz jednak natrafiłem na interesujący zbiorek książek, w którym obok *Tajemnic życia i śmierci Wołowskiego*. *Drogi do poznania światów tajemnych*, *Eliksiru życia i Sztuki kochania* znalazłem *Listy Miłosne*. — *Majnowszy poradnik do pisania listów miłosnych wraz z dodatkiem zawierającym wpisy do imienników, pieśni miłosne oraz toasty weselne*. 1911.

Listy miłosne dostarczają wzorów listów na wszystkie okoliczności: „oświadczyły po krótkiej znajomości”, „oświadczyły po dłuższej znajomości”, „oświadczenie miłości i prośba o spotkanie się”, „przychylna odpowiedź panny”, „odmowna odpowiedź”.

„wymijająca odpowiedź”, „odpowiedź brata za siostrę”, „list do natarczywego kochanka”. „odpowiedź rodziców”, „list rzemieślnika np. szewca lub krawca”, „list młodego farmera do córki farmera”, „list z ogólnym wynurzeniem miłości i z prośbą o rękę”, „list jakiegokolwiek rzemieślnika”, „list górnika”, „odpowiedź na list rzemieślnika”, „list wdowca”, „list żołnierza do kochanki”. „drugi list żołnierza do oblubienicy”, „list tęskniącej kochanki”, „list z Ameryki”. zgórą dwadzieścia listów „kochanków i narzeczonych” i wiele innych.

Jeżeli list z „oświadczeniem miłości i prośbą o spotkanie się „nie spotkał się z odpowiedzią ani odmowną, ani wymijającą i oblubienicy spotkali się, to przepisy dalszego zachowania się znajdują w innym dziełku p.t. *Szlaka kochania, czyli sposoby przypodołnienia się, zakochania i znalezienia miłej i dobrej małżonki, względnie miłego i dobrego małżonka. Niezbędny poradnik dla osób mających wejść w związki małżeńskie oraz dla małżonków.* Wydał B. Zelski. Na podstawie starożytnych źródeł zaczerpniętych z *Salomona Anakreonta, Suphony z Lcsbos i Owidiusa, mistrza w sztuce kochania.* (Cena 10 cent, Nakładem i drukiem gazety „Motyl”, New York, Skład Główny M. P. Paryski. Pittsburgh 1910).

Z tej „sztuki kochania” wynoszą zainteresowani wiele cennych wskazówek, dotyczących poznawania się na ludziach, robienia dobrego wrażenia i podobania się.

Oto „kilka wskazówek, które panienka rozsądnie pojąć powinna. Oko nieśmiałe, nie pozwala sądzić o zbyt bystrym umyśle. Wzrok niespokojny oznacza gwałtowne namiętności. Kto swemu bliźniemu nie śmie wprost w oczy spojrzeć, ten nie ma czystego sumienia. Kto z otwartymi ustami światu się przygląda, bywa zwyczajnie nieudolnym. Częsty śmiech zdradza głupca. Szyderski uśmiech w okolo ust oznacza mało szczerości. Twarz, której rysy często się zmieniają, oznacza brak silnych zasad. Nadmierna otyłość mężczyzny oznacza brak siły i duchowych zalet. Nadzwyczajne wychudzenie oznacza burzliwie spędzoną młodość lub też silne namiętności.” (s. 74).

„Używanie perfum — dowiaduje się czytelnik na innym miejscu — nie jest rzeczą złą o ile się ich nie nadużywa, a są one nieraz wprost potrzebne, gdy wrodzony odór ciała jest za ostry i zbyt rażący, nawet pomimo starannego mycia i kapania.” Trzeba jednak perfumy odpowiednio dobrać. „I tak np. powszechnie lubiane perfumy fiołkowe mniej się nadają dla dziewcząt, więcej raczej dla dam zamężnych. Działają one w kierunku afrodyzyjnym przytłumiająco. Najodpowiedniejsze dla dziewcząt — o ile potrzebne — są perfumy różane, w lepszym gatunku. Te bowiem najtrudniejsze są do sztucznego naśladownictwa, a powtóre działają rozkosznie i wzbudzają w otoczeniu uczucie podniecające, afrodyzyjne. Lecz i tu trzeba umieć zachować miarę. Dziewczę młode i czyste, a uczciwe, ma najmiłszą perfumę dla młodziana w naturalnym zapachu jej dziewiczego ciała. Są ludzie tak wrażliwi, sami czysti i nietknięci pod względem czystości duszy, którzy po zapachu ciała poznają moralną wartość dziewczęcia.” (s. 31).

„Pomady na włosy nie powinno się używać, chyba z konieczności, bo włosy czystej i zdrowej dziewczyny mają swój specjalny, nęcący zapach naturalny.” (s. 33).



Wreszcie książeczka zawiera także sentencje życiowe społecznej i ogólnofilozoficznej natury. „Aczkolwiek pycha ludzka — czytamy — fałszywie równouprawieniem zwana, stara się zatrzeć różnicę między mężczyzną i kobietą w życiu publicznym, to jednak faktem jest i pozostanie, że uwarunkowanie bytu ziemskiego kobiety bardzo odmiennym jest od bytu mężczyzny... Biblia mówi, że kobieta powstała z żebra mężczyzny. Jest więc częścią integralną jego n a t u r y . . . . Ktoby był ciekawy zbadać dwupłciowość istoty ludzkiej, mógłby się dokładnie przekonać, jak dziwnie przystająco do siebie są zbudowane poszczególne członki mężczyzny i kobiety. Podobieństwo między nimi jest mniej więcej takie, jak między formą a odlewem, który wyszedł z formy.” (s. (3-7).

Nie wiem jak popularny jest ten „savoir-vivre”. Podobne „sztuki kochania” spotykałem jednak często na wystawach polskich księgarni w Ameryce, leżące obok amerykańskiej „art of love making”. Wśród młodego pokolenia ta ostatnia wypiera polską, może bardziej udoskonaloną, uproszczoną i lepiej do samochodu przystosowaną.

## **6. Obowiązek wzajemnego popierania się.**

Jak wspomniałem poprzednio, towarzystwo o charakterze religijnym i wzajemnej pomocy poprzedzało zorganizowanie parafii.

To powiązanie momentu religijnego z momentem wzajemnej pomocy jest bardzo ściśle i nie przypadkowe. Wzajemna pomoc, dla której zawiązywały się pierwsze towarzystwa emigrantów, dotyczyła pierwotnie głównie posług religijnych, a przede wszystkim pogrzebu. Utrzymywanie kasy pośmiertnej i zorganizowanie pogrzebu dla współczłonka, było naczelnym motywem organizowania takich towarzystw. Funkcja ta stanowi nadal podstawę utrzymywania się licznych związków polskich. Związek Narodowy Polski, jak i Zjednoczenie Polskie Rzym.-Kat. są równocześnie towarzystwami ubezpieczeniowymi, i funkcje te stanowią podstawę ich liczebności.

Zasady wzajemnej pomocy nie należy jednak mieszać z zasadą zbiorowej organizacji zaspokajania potrzeb, z jakimikolwiek sympatiami dla socjalizmu, dla uspołecznionej formy organizacji zbiorowej. Przeciwnie, duch uspołecznienia w głębszym tego słowa rozumieniu jest obcy polskim parafiom. Jak każdy ostatecznie indywidualnie będzie zbawiony lub potępiony, tak też sam powinien zabiegać o zaspokojenie swoich potrzeb. Indywidualnie powinien się dorabiać. Obowiązkiem grupy swoich jest popieranie się w indywidualnych dążeniach. Parafie dzielnicowe jako całość podejmują nadzwyczaj mało funkcji społecznych. Opieka nad biednymi w parafiach dzielnicowych jest nadzwyczajnie słabo zorganizowana — i nie nosi charakteru parafialnego: prowadzona jest przez szersze organizacje Kościoła Katolickiego. Podobnie rzecz się ma z opieką nad przestępcami.

Parafia nie prowadzi również żadnych agend kulturalnych, za wyjątkiem przedstawień i zabaw, które traktowane są jako imprezy dochodowe. Biblioteka polska znajduje się w Południowym Chicago w osiedle baptystycznym. Urząd i władze parafialne ograniczają swoją działalność niemal wyłącznie do terenu religijnego i towarzystw kościelnych.

Obowiązek wzajemnego popierania się jest zasadą moralną, która swój sens zawdzięcza istnieniu obcych. Każe ona popierać swoich a nie obcych, nic natomiast nie

mówi o tem, jak „swoi” powinni współżyć między sobą, kiedy są sami. Zasada ta oznacza postawienie „swojego” przed obcym. „Żeby on tam nie wiem jaki Polak był, to on jeszcze lepszy niż obcy; najgorszy Polak lepszy niż obcy.” Jest to wyrazem moralności grupowej, ale nie koniecznie znajduje wysokie zastosowanie etyczne. „Jak to się mówi, panie, jak mają być pieniądze ukradzione z insurance (ubezpieczenia), to lepi niech nasz ukradnie”, wyjaśniał mi prezes; jednego z najliczniejszych towarzystw miejscowych.

a) Popieranie się w życiu politycznym. Zasada popierania swoich znajduje więc zastosowanie głównie na terenach stykania się „swoich” z obcymi: przede wszystkim więc w życiu politycznym i ekonomicznym.

Funkcja popierania swoich występuje wyraźnie, w związku z ogromną ilością urzędów wybieralnych w administracji lokalnej w Ameryce i dużą ilością „jobów”. Kandydaci na posady polityczne odwołują się do swoich o poparcie. Oto woźny sądowy podaje swoją fotografię i pod nią umieszcza następujące wezwanie do rodaków, by głosowali za p. S. W. G., któremu on zawdzięcza swoją posadę.

„Niniejszem zwracam się z serdeczną prośbą do moich rodaków, ażebyście w dniu wyborów poparli swoimi głosami mojego i waszego szczerego przyjaciela p. Sheldona W. Goviera, aldermana 9-ej wardy, ubiegającego się o urząd klerka sądu apelacyjnego. Pamiętajcie w budkach wyborczych o nazwisku tego, który pamięta o was nie tylko w czasie kampanji, ale w każdym czasie.

Jestem jednym z tych Polaków, o których pan Govier nie zapomniał, gdy chodziło o rozdanie posad miejskich. Znam pana Goviera od wielu lat i mogę śmiało powiedzieć, „aby tacy przyjaciele jak on rodzili się na kamieniu”. Mimo swego zaszczytnego urzędu aldermana, jest on zawsze, dla nas Polaków w szczególności, przyjacielem i w dodatku takim, na którego zawsze możemy liczyć.

W mej prośbie gorącej proszę o oddanie jemu głosów w dniu wyborów, abyśmy mogli wykazać, że pamiętamy o tych, którzy pamiętają o nas nie tylko w potrzebie, ale w każdym czasie.”

A oto znowu wezwanie do rodaków, kandydata na klerka Sądu Najwyższego, pomieszczone na frontowej stronie Polonii pod olbrzymią fotografią kandydata.

„Rodacy! Nam potrzeba pomocy, bośmy stabi i ponad siły własne są starania, jakie powinny być przeprowadzone. Wszyscy przyznajemy się otwarcie, że nie potrafimy sami bez waszej pomocy, Rodacy — nic zrobić. Tak samo jak i Wy odczuwamy kryzys, bo niby pracując — całymi miesiącami czekamy na wynagrodzenia, które i tak jest do kości okrojone — każdy, z każdej strony natarczywie żąda od każdego kandydata rzeczy wprost niemożliwych w dzisiejszych czasach, a nawet i miliony nie wystarczyłyby na zaspokojenie żądań, gdyby kandydaci miliony posiadali, naciągają ich naciągacze z prawej i lewej strony — tak iż wprost trudno się opędzić od natarczywców. W takich warunkach trudnych, ciężkich ubiegają się Polacy o urzędy. Czy Wy, Rodacy pomożecie swoim ludziom? Czy Wy, pozwolicie na to, aby Polaków pomijano, dlatego, że są Polakami? Nigdy w historii perspektywa nie była tak przychylną zwycięstwa Polaków jak w nadchodzących wyborach. Pokonali Polacy pierwsze trudności prawyborcze po ciężkiej pracy

kampanijnej — za co serdeczną i dozgonną wyrażam wdzięczność — teraz Rodacy, we własnym imieniu i dla moich kolegów kandydatów na całym balocie demokratycznym o tę szczerą pomoc proszę — dla chwały imienia polskiego i amerykańskiego.”

„P. B. — pisze znowu Polonia — jest synem jednej z najstarszych tu rodzin polskich, bowiem rodzice jego przybyli do Chicago, — gdy było tu dopiero około 73 rodzin polskich. Murem wszyscy przy rodaku stańmy jak jeden mąż, oddając p. B. nasze głosy polskie a agitujmy za nim jeszcze w tych ostatnich dniach między Amerykanami.”

I zwyciężył. A zwyciężywszy, temi słowami dziękuje rodakom:

Słowa wdzięczności od pana A. F. B.

„Urząd klerka najwyższego sądu stanowego — jak rezultaty wyborcze wykazują, przypadł mi w udziale obok zwycięstwa wszystkich demokratów.

Pragnę gorąco, Rodacy moi, by moje zwycięstwo było zwycięstwem Waszym wraz ze wszystkimi obywatelami amerykańskimi.

Wiem, że wraz z partią demokratyczną cieszyć się ze mną i dlatego szczególnie wdzięczny jestem wszystkim moim rodakom, którzy oddali mi swoje głosy i tym, którzy żywy udział w kampanii mojej wzięli. Gdybym chciał ich wszystkich tu wymienić, nie starczyłoby miejsca, ale raczcie wiedzieć, Rodacy, że każdemu, czy to najmniejszemu czy to najwyższemu — wszystkim wyrażam słowo wdzięczności, boście wszyscy zrozumieli co to znaczy solidarność. Obok innych narodowości tworzących z nami zespół obywatelstwa amerykańskiego, poszliśmy naprzód i dlatego właśnie, że zaczynamy w życie wprowadzać nasze teorie i hasła, dziś posunęliśmy reprezentację polską w polityce amerykańskiej o kilka szczebli wyżej i da Bóg w następnych kilku latach rodacy nasi jeszcze wyżej pójdą — tylko zawsze i wszędzie pracujmy zgodnie i wytrwale, bez zazdrości, bez prywaty, stosując się do okoliczności politycznych w jakich żyjemy i działamy, szczególnie zaś zgodnie też z innymi narodowościami bo w nas i w nich łączna siła to potęga, której nikt się nie oprze. Zdaję sobie rację z faktu, iż jestem drugim Polakiem, który obejmuje urząd stanowy — pierwszym był ś. p. Jan F. Smulski, który w roku 1907 objął urząd skarbnika stanowego. Chcę Rodacy dla Was być zaszczytem — proszę o dalszą zachętę i podtrzymanie imienia polsko-amerykańskiego jak najwyżej ku chwale i pożytkowi wszystkich Polaków i ku chwale wszystkich obywateli amerykańskich bez względu na pochodzenie, bo w oczach Boga jesteśmy dziećmi Jego równymi. Niech Was Bóg błogosławi za zaufanie, jakim obdarzyliście mnie. (—) A. F.

Ale życie polityczne parafii polsko-amerykańskiej nie różni się wiele od życia politycznego wogóle. W pięć miesięcy od daty, kiedy na naczelnym miejscu Polonii, drukowany był sążnisty artykuł o zasługach p. B. z jego ogromną fotografią i z adresem kandydata, ukazuje się na ostatniej stronie Polonii drobna notatka Redakcji tej treści. „W ubiegłą sobotę rano zawezwano policję do domu pod numerem ... do uśmierzenia bójki pomiędzy mężem i żoną. Gdy przybyła policja pod powyższy adres już było wszystko

„quiet on the western front”. Na stacji nie zanotowano nazwiska wojowniczego małżeństwa.”

Co się stało? Wybraniec losu nie był w stanie spełnić wszystkich obietnic (lanych przyjaciom, których poparciowi zawdzięcza zwycięstwo. Rozpoczęła się walka o „joby”, a z nią podziemne knowania pokrzywdzonych. Ci sami ludzie, którzy go przed pół rokiem reklamowali jako największego patriotę, obecnie kopią pod nim dołki. Tak intensywne i pełne wzajemnej nienawiści walki jak ta, która tu właśnie powstała, toczą się tylko wśród „swoich”.

b) Popieranie się w życiu ekonomicznym. Drugą dziedziną, w której zasada popierania się wzajemnego znajduje rozległe zastosowanie jest życie ekonomiczne. Propaganda handlowa polska jest oparta na tej zasadzie popierania „swoich” i ich produktów. Przez jakiś czas rozpoczynano polską godzinę kupiecką w radio wezwaniem „Popierajcie tych, którzy nas popierają”. „Tak smacznych wędlin, jak polskie wędliny — reklamuje godzina polska w radio — nie ma na świecie”. „Że my Polacy znamy się lepiej na mleku od innych narodów, tego dowodem jest, że kwaśne mleko z kartoflami jest naszą polską potrawą, podczas gdy inne narody nie wiedzą, co z tem zrobić.” „Zdążajmy solidarnie do niezawisłości gospodarczej...” „Popierajmy się nawzajem a świat będzie dla nas rajem.” „Pijcie tylko polskie piwo z nalepką białego orła.” „XN”. czystopolska pralnia — oddajcie tam swoją bieliznę, a otrzymacie ją czystą, miłą i pachnącą.” „Gdy Bóg powoła do wieczności jedną z drogich wam osób, to polski pogrzebowy najlepiej was zrozumie i obsłuży.”

Zarówno udział Polaków w polityce i administracji, jak i ich życie ekonomiczne zależy od istnienia polskich parafii. Polskie życie ekonomiczne rozwinęło się w ramach tych skupień polskich i zależne jest od istnienia patriotyzmu Polaków, od ich trzymania się razem w polskich parafiach, od przywiązania do parafii. Dlatego też politycy, kupcy stanowią ważne filary parafii — a propaganda polityczna i handlowa opiera się na parafii. „Kupujcie bilety na nasz koncert religijny — słyszymy na polskiej godzinie radiowej — cały dochód na malowanie Kościoła, prosi was o to serdecznie komisarz powiatowy N.”

„...Każdy kupiec polski — pisze wybitny działacz kupiecki w artykule propagandowym — składa daninę na twój kościół, na twoją szkołę, na twoich śpiewaków, na twoich sokołów, wogóle na twoje wszystkie organizacje ideowe. Nie tylko że składa, ale sam bierze w nich czynny udział. On jest częścią twego narodu, on jest twoim bratem. Czy wojna, czy głód, czy nieszczęście, on zawsze jest z tobą, pomaga ci podczas gdy różne przybłędy w nieszczęściu opuszczają cię, ogłaszają publicznie, że są „neutralni”, a ty pozostajesz sam z twoją biedą.”

„... Nasz człowiek ma sumienie, jest katolikiem, jest rzetelny, więc sądzi, że i inni rzetelnie obsługiwać go będą. Tymczasem inni nadużywają tych zalet i rabują nasz naród.

I dlatego, gdy się słyszy, takie przysłowiowe już zdanie w sklepie polskim: „Takiej łaski ja i u Żyda dostąpię”, to wtedy wrywa się wraz z Juliuszem Słowackim wielki krzyk bólu: „Niczem Sybir, niczem knuty, lecz narodu duch zatruty, To dopiero bólów ból.”

Albowiem kupiec polski, jako Polak i jako katolik od tysiąca lat uczony jest, że kradzież jest grzechem, że trzeba mówić prawdę, że trzeba rzetelnie obsługiwać. Więc wyznacza on stałe ceny i od nich odstąpić nie może, bo te ceny są sprawiedliwymi cenami.

Zaś przybłędy obce, którzy nie mają sumienia, ceny dostosowują do osoby, którą mają przed sobą. Gdy widzi łatwowiernego rodaka, rzuca się na niego niby wilk na owcę, obrabuje go i jeszcze mu mówi, że mu łaskę zrobił. Dlatego kupujcie u swoich.”

Właściciel jedyne polskiego w So Chicago Zakładu Fotograficznego ogłasza swój zakład w następujący sposób:

Rodzice Polscy! Dzieci przystępujące do Komunii Sw. fotografujcie w Polskim Zakładzie.

„Za kilkanaście dni przystępować będą do Stołu Pańskiego dzieci polskie, opuszczające mury szkolne. Chwile uroczyste w domach polskich należycie Polacy obchodzą i cieszą się razem z dziatwą. Tę chwilę też utrwalają dla dzieci na pamiątkę życiową w postaci fotografii, która później obok modlitewnej książeczki dorosłej już wtedy młodzieży przypominać będzie w zwątpieniach życiowych tę chwilę, w której poraż pierwszy przystępowały do Stołu Pańskiego. Często się zdarza, że rodzice polscy fotografują u ludzi, którzy wprost lekceważą sobie nasze obrządki religijne — to też przypomnąć im należy o obowiązku fotografowania dzieci w zakładzie polskim i chrześcijańskim ..

W Księdze Jubileuszowej 50-lecia istnienia parafii N. P. N. M. P. składają życzenia jubileuszowe (w postaci reklam) wszystkie lokalne przedsiębiorstwa handlowe: rzeźnicy, aptekarze, piekarze, banki, mleczarnie, spółki budowlano-pożyczkowe, wytwórnia piwa i innych napojów, lekarze, malarze, fabryka trumien, właściciele restauracji itp. „Najserdeczniejsze życzenia składa syn organizatora Parafii Jan I. T. Sala do wynajęcia.” „Jak najserdeczniejsze życzenia dalszego rozwoju i zbożnej pracy życzy parafji N. P. N. M. P. Najstarszy Polski Zakład Pogrzebowy w SoChicago”, a dla zadokumentowania szczerości swoich życzeń umieszcza ogromną fotografję(; swoją, idąc za wzorem innych przedstawicieli elity miejscowej, a zwłaszcza polityków, którzy pomieścili także swoje fotografie. „Życzenia od familji” składa J. K. — „Europejski wyrób wędlin.” „Serdeczne życzenia dla całej parafii składa — M. L., akuszerka.” Brak tylko życzeń kwiaciarni, które życzeń nie składają od czasu, jak wprowadzono do parafii „bukiety duchowe”-‘zamiast kwiatów na trumnę.

## **7. Społeczno-kulturalny system parafii.**

Pod wpływem wymagań, które sobie wzajemnie stawiają członkowie parafialnej grupy „swoich”, wykształca się pewien wzór parafianina. Wzór ten jest podstawą sądu wzajemnego współparafian, i choć trudno go całkiem wyczerpująco opisać, to jednak ostatecznie samo istnienie parafii opiera się na istnieniu takiego wzoru, czyli systemu obowiązków i norm obyczajowych stawianych przez parafię swoim członkom. Niejeden z członków parafii, sam w swoich aspiracjach sięga wprawdzie poza sferę parafii, ilekroć jednak jako członek parafii wydaje sąd o współparafianach, to sąd ten opiera na tym

systemie norm obyczajowych i społecznych — na wzorze parafianina. Na istnieniu takiego stereotypu parafii i parafianina opiera się także publiczna opinia parafii.

Bukiety duchowe polegają na tym, że zamiast kwiatów na trumnie zamawia się msze święte za dusze zmarłego. Kartkę z zamówieniami na mszę i z pieniędzmi umieszcza się w kopercie i kładzie na trumnie. Koperty te są do każdego pogrzebu przygotowywane przez pogrzebowych. Najtańsza msza kosztuje 2 dol. 50 cent. W parafiach Poł. Chicago w kościele wogóle kwiatów na trumnie nie wolno umieszczać, trzeba je zostawić w kruchcie, a na trumnie wolno umieszczać tylko bukiety duchowe. „Z kwiatów nic nikomu nie przyjdzie — uzasadniał mi ten zwyczaj ksiądz X. — a modlitwa zawsze powmoże”. Zwyczaj bukietów duchowych istnieje także w kościołach irlandzkich.

Wzór parafianina decyduje o tym, że pewne tylko jednostki mogą liczyć na uznanie w parafii, inne mogą być tylko tolerowane. Jakżeśmy się przy tem przekonali, parafia jest wścibska: chce wszystko wiedzieć o parafianach, na życie prywatne nie wiele pozostawia miejsca. Dlatego dla typów nie przystosowanych do wymagań parafii miejsca w niej nie ma. Trudno się w niej ukryć.

Ksiądz z ambony ogłasza, ile kto dał na ołtarz, a ile na nowe okna w kościele. Normalne kolekty nie są ogłaszane z ambony, drukuje się tylko roczne sprawozdania rachunkowe z wyszczególnieniem imiennem ile kto dał na parafię. Sprawozdanie takie otrzymuje każdy parafianin i na liście alfabetycznej może sprawdzić, ile dał jego sąsiad. Zarząd parafii stara się oszczędzać wszakże nadmiernych przykrości sąsiedzkich, któreby mogły wynikać (przez przedwczesne opublikowanie listy ofiarodawców) z niezapłacenia składek zwłaszcza nadzwyczajnych. „Nie chcąc przykrości sprawiać parafianom, którzy z powodu złych czasów nie byli w stanie uiścić się z zobowiązań na kolorowe okna — czytamy w Sprawozdaniu Finansowem parafii Sw. Michała z 1930 r. — sprawozdanie z ofiar na ten cel wydamy pół roku później. W tem sprawozdaniu wyszczególnione będzie, ile kto obiecał, a ile w rzeczywistości dał.”

System spowiedzi za kartkami stanowi zawsze poważne narzędzie kontroli społecznej, a w warunkach życia polsko-amerykańskiego, gdzie całe życie ogniskuje się przy parafii jest to narzędzie bardzo skuteczne. Nie trzeba imiennego wymieniania z ambony tych, którzy do spowiedzi nie chodzą, czego się nie praktykuje; wystarcza ostrzeżenie w praktykowanej formie: „ja wiem kto nie był u spowiedzi, niech się poprawią, będzie z nimi inaczej źle.”

Nie może więc być mowy o wyłamaniu się spod tego obowiązku. Kto chce żyć w parafii, mieć w niej przedsiębiorstwo, praktykę lekarską lub adwokacką, musi pójść do parafii w godzinach „ofisowych” po kartkę, przy tej okazji, jak zwyczaj każe, zapłacić 5 dolarów, i odbyć spowiedź. Nie ma innej rady: niewielu może opuścić parafię i przenieść się z przedsiębiorstwem do amerykańskiej dzielnicy. „Ja chodzę do spowiedzi — zwierza się przede mną X. — ze względu na mój interes. Ażeby tę kartkę od księdza dostać. Do Komunii nie chodzę. Dla tego grosza poświęcam moje dziecko, posyłając je do szkoły parafjalnej.” „A co pan myśli — mówi inny — że ja tu przez sentyment dla Polonii siedzę, nie, gdyby mnie stać było, to bym się wprowadził między Amerykanów.”

Sami parafianie pilnują, ażeby w życie parafii nie wkradali się ludzie nie odpowiadający wymaganiom wiernego parafianina. „P.B. — opowiada mi jeden z najwybitniejszych działaczy parafialnych dzielnicy — należał do Knights of Pythias i takim był zagorzałym członkiem, że kiedy było wyświęcanie na księdza jego brata, to on do kościoła nie chciał przyjść. Aż tu panie, kiedy mieliśmy posiedzenie organizacyjne klubu kupców, patrzę a P. B. Jest, to jak było czytanie konstytucji, to ja wniosłem, ażeby w konstytucji wstawili, że do klubu może należeć każdy parafianin (czyli że nieparafianie są wykluczeni). Później widziałem go w kościele i, jak zapytałem księdza to powiedział, że on już chodzi do kościoła od jakich czterech miesięcy.”

Skuteczność z jaką ksiądz i liderzy parafialni zwalczają odstępstwo od wzoru parafianina, nie jest jednak bynajmniej wyrazem samowładztwa księdza. Cała problematyka antyklerykalna, która stawia z jednej strony społeczność, a przeciw niej księdza, jest bardzo powierzchowna i nie ujmuje istoty zagadnienia.

Zapewne zewnętrznego obserwatora, tak samo jak nieliczną garstkę inteligencji polsko-amerykańskiej, która do życia parafii stosuje nieparafialne sprawdziany społeczno-kulturalne, mogą razić bukiety duchowe, zwyczaj płaceni na kościół przy okazji brania kartki do spowiedzi, sam system kartek, opłaty za msze święte itp. Ale dla parafianina są one przyjętymi zwyczajami, które zaspokajają jego potrzeby religijno-społeczne. Wśród masy robotniczej nie słyszałem na ogół wielu skarg na wysokość opłat kościelnych. I nic dziwnego. W kulturze opartej na pieniądzu *możność płacenia* jest miarą wartości społecznej i źródłem poczucia mocy. Życie parafii przystosowało się do tej kultury pieniężnej nie tylko w Ameryce, ale równocześnie tę pieniężno-kapilalistyczną kulturę na swój sposób zasymilowało: opłaty kościelno-religijne, *możność płacenia* na Kościół i za posługi religijne, uczyniło najbardziej zaszczytnym ze wszystkich wydatków. Każdy ofiarodawca znajdzie się na liście sprawozdania. Datki jubileuszowe są wyszczególnione imiennie w księdze jubileuszowej, a ci co zakupili nową sygnaturkę, są wydrukowani tłustym drukiem.

Pogrzeby w parafii odbywają się z największą wystawnością: Trumny muszą być w najlepszym gatunku i księdza na pogrzebie nie może zabraknąć. Ilość dolarów zebranych w „bukiecie duchowym” na msze święte jest miarą popularności i ważności społecznej zmarłego i jego rodziny.

Sami księża muszą nieraz hamować tę „ofiarność” parafian na kościół. Pp. X. na ślub córki chcieli kupić dywan do kościoła od drzwi frontowych aż do ołtarza, ażeby państwo młodzi szli po dywanie do ślubu. Ksiądz sprzeciwił się i powiedział, że mogą kupić dywan dla kościoła, ale po ślubie. Inna rodzina chciała mieć palmy w kościele przy ślubie.

Z płaceniem na parafię w tej lub innej formie, z utrzymywaniem jej wiąże się poczucie wartości parafianina. Gdyby przestał płacić straciłby związek z grupą swoich, stałby się niczem. W systemie parafialnym *możność płacenia* jest tak ważna dla więzi grupowej i dla poczucia wartości parafianina, jak udział w uroczystościach grupowych, połączonych ze spożywaniem mięsa ze specjalnie hodowanych sakralnych zwierząt, w innym przedkapitalistycznym typie kultury religijnej, u Indian, którzy przed dwoma wiekami mieszkali na miejscu dzisiejszych polskich parafii Pol. Chicago.

Każda grupa społeczna wytwarza sposoby oceniania swoich członków: wspólną i uchwytą miarę udziału członków w zbiorowym życiu. Dla grupy parafialnej decydujący jest tu udział w utrzymywaniu parafii, mierzony ofiarnością na kościół. Ofiarność ta musi wyrażać w jakiś obiektywny sposób, inaczej niktby o niej nie wiedział, nie posiadałaby znaczenia społecznego. Znaczenie społeczne może się wyrażać tylko w „walucie” uznanej przez grupę: może to być ilość ziemi posiadanej, ilość wygranych bitew i zdjętych skalpów, ilość niewolników, ilość zwierząt lub ludzi złożonych bogom na ofiarę lub ilość pieniędzy. Wszędzie jednak ilość odgrywa kolosalną rolę, jako miara społeczna. Nie wystarcza subiektywna postawa: ona musi się wyrazić w jakiś sposób zewnętrzny, inaczej nie mogłaby być udzielana innym ludziom. Muszą istnieć symbole, które by każdemu we wspólnie uznawanej „walucie” pozwalały mierzyć swoje i innych znaczenie społeczne. Taką miarą była w kraju posiadana przez chłopą ilość morgów, stan zagospodarowania: ilość krów i koni; dla robotnika ilość omłóconych snopków na godzinę i popyt na jego pracę. W parafii polsko-amerykańskiej, z oderwaniem od ziemi, znikły te tradycyjne miary znaczenia społecznego i hierarchii u chłopą; wytwórcza praca emigranta w stalowni nie należy do systemu parafialnego, nie ma znaczenia sama przez się dla jego miejsca w parafii. Musiały więc powstać inne zastępcze niejako formy mierzenia wzajemnego znaczenia społecznego. Jeżeli pominiemy budowę domku, bardzo rozpowszechnioną, wśród robotników-emigrantów posiąć ugruntowania się w znaczeniu społecznym, to wydatki na „reprezentację”, czyli życie z ludźmi, i wydatki na kościół zaliczyć trzeba do najważniejszych mierników popularności i znaczenia społecznego.

Życie towarzyskie dzielnic, które przedstawiłem poprzednio, nie przypadkowo nabrało tak wielkiego znaczenia w życiu zbiorowym parafii. Pieniądz zdobyty i schowany nie powiększa znaczenia społecznego: musi zostać zużyty w sposób przez grupę uznany. Chłop lokował swoje oszczędności w gospodarstwie; gospodarstwo, ziemia, zastępowały „reprezentację”. Na emigracji nie ma gospodarstwa, więc znaczenie „reprezentacji” musi być tem większe. Stąd istotne znaczenie tych informacji „Polonii” o jubileuszach rodzinnych, przyjęciach, kolacjach i t.p.

Musi także istnieć obiektywna miara aktywnego udziału parafian w utrzymywaniu się parafii. Ponieważ życie ekonomiczno-wytwórcze, leży zasadniczo poza sferą parafii — system ekonomiczno-wytwórczy do parafii nie należy, przeto tylko ofiarność wyrażona gotówkowo może być legitymacją aktywnego członkostwa. Kto się wyłamuje z tego obowiązku ofiarności wyłącza się z grona parafian. „Kościół Sw. Michała Archanioła — czytamy w książeczce parafialnej, którą otrzymuje każdy parafianin — powstał z ofiarności parafian i istnieje dla tychże. Kapłani przy nim ordynujący mają obowiązek opiekować się tylko członkami parafii Sw. Michała Archanioła”. Parafianinem staje się ten, kto m. in. „według możliwości wspiera Kościół i moralnie popiera działalność tegoż”. Kto tego nie czyni nie ma racji: „(1) Domagać się jakichkolwiek usług kapłańskich. (2) Spodziewać się, że na życzenie dzieci ich przygotowane będą do I-ej Komunii Sw. (3) Nie mają prawa do pogrzebu uroczystego. (4) W ogóle nie mają prawa do jakiegokolwiek uznania ze strony kapłana lub parafii.”

Autorytet księdza jest wynikiem pewnego specyficznego środowiska społeczno-kulturalnego; jest cechą systemu, a nie odosobnionym zjawiskiem. Fotografuję księdza proboszcza widziałem niemal w każdym domu, który odwiedziłem. Jest ona

ozdobą mieszkania i rodziny, wraz z bardzo rozpowszechnionymi kolorowymi portretami rodzinnymi, fotografiami z uroczystości rodzinnych, fotografiami dzieci z uroczystości I Komunii Świętej i obrazami świętymi.

Mamy więc do czynienia nie z księdzem, który despotycznie włada parafią, lecz z całym religijno-społecznym systemem głęboko ugruntowanym w wierzeniach conajmniej wielkiej części parafii. Wszelka presja w stosunku do niedostosowujących się, czy to za pośrednictwem ambony, czy gazety, ma za sobą oparcie wiernych: mobilizuje ich odpowiednie postawy. A system ten dotyka bezpośrednio irracjonalnych wiązań ludzkich: zagadnienia życia i śmierci. Pytałem raz dwudziestoletniego parafianina, urodzonego już w Ameryce, dlaczego człowiek powinien być religijny. Odpowiedział: „Bo jak umrze, to go inaczej nie pochowają na poświęconej ziemi.” Obawa przed odmówieniem pogrzebu uroczystego — co grozi w razie nieprzystępowania do spowiedzi i niepłacenia składek — jest podstawowym źródłem naginania się do wymagań parafii. Często nawet ci, którzy buntują się przeciw ciasnemu życiu parafii, dla tych względów, a nie tylko z obawy przed szkodami materialnymi, trzymają się parafji. Jeden z takich nieprzystosowanych uzasadniając swoje przynależenie do parafji, wyraził się: „Gdzieś trza należeć, bo jak się umrze, to choć człowieka pochowają”.

Każde zjawisko społeczne jest zrozumiałe tylko w tym kontekście, w jakim występuje. Ma ono sens i funkcjonalne powiązanie w ramach konkretnego systemu społeczno-kulturalnego i staje się bez sensu poza nim. Kupienie nowej sygnaturki do kościoła w parafii; dyplom doktora filozofii wśród inteligencji, ofiary z ludzi, składane bogom u Azteków; podbój buntującej się kolonii, lub spalenie na stosie ksiąg sprzecznych z duchem grupy — u narodów cywilizowanych: księga Złotego Jubileuszu w parafji N. P. N.M.P., a Social Register wśród plutokracji na Gold Coaście w Chicago, mają realne znaczenie jedynie w tym kontekście społeczno-kulturalnym, do którego należą.

Dla doktora filozofii mało ważny jest może ten zakup sygnaturki i filatelistyka obrazów świętych; dla wodza armii — dyplom doktora filozofii. Wszystko co w ramach jednego systemu społeczno-kulturalnego posiada wartość wzniosłą, ze stanowiska innego systemu społecznego może być komiczne. W gruncie rzeczy jednak pod powierzchnią różnych przejawów życia zbiorowego ludzi kryje się ta sama prymitywna istota parafianina, może naprawdę komiczna, lecz jeśli tak, to nie tylko w swoim sensu stricto parafiańskim przejawie, lecz niemniej w wielu innych — na wszystkich szczeblach społeczeństwa i cywilizacji.

## **8. Amerykanizacja.**

Wzór parafjanina podlega jednak zmianom. Do parafii przychodzą wpływy z zewnątrz, które dążą z wolna zmiany w jej życiu i strukturze. Ale proces ten nie odbywa się całkiem chaotycznie. Nie wszystko zostaje od razu przyjęte. Każda inowacja musi sobie zdobyć uznanie zanim się upowszechni. W jaki sposób to się dzieje? Jakimi drogami inowacje te dostają się do parafii i jak się rozpowszechniają? Nie wszystkie idą tymi samymi drogami; nie idą one indywidualnie, lecz raczej pewnymi kompleksami, jedna inowacja pociąga inną itd. Zwyczaje tradycyjne ustępują miejsca modzie: nastawienie na niezmiennność pewnych form ustępuje miejsca nastawieniu na zmienność, nowość. Nie wszystkie sfery życia są jednakowo dostępne inowacjom: umeblowanie mieszkania szybko ulega amerykanizacji,

podczas gdy zwyczaje kościelne utrzymują się dłużej. Dzieje każdej inowacji w parafii: wprowadzenie bukietów duchowych, rozpowszechnienie się sportu lub żucia gumy przez młodzież, wymagałoby szczegółowych i żmudnych badań. Tak samo, jak zanik jakiegoś zwyczaju np. całowania księży w rękę. Uchwycenie i prześledzenie historii upowszechnienia się jakiegoś nowego zwyczaju, lub zaniku innego, jest sprawą bardzo trudną. Nie kuszę się o to na tym miejscu.

Pragnę tylko zwrócić uwagę, jak pewne inowacje asymilują się do już istniejących systemów zwyczajowych i zostają do nich włączone. Charakterystycznym tego przykładem są samochody w orszakach pogrzebowych parafian. Pogrzeb jest tradycyjnie jednym z najważniejszych obrzędów parafialnych. Samochód został zasymilowany do niego i służy podkreśleniu bogactwa pogrzebu. W sprawozdaniach z uroczystych pogrzebów, drukowanych w Polsce, wymienia się ilość samochodów w orszaku pogrzebowym.

Oto pogrzeb Ch., starego osadnika, robotnika ze stalowni: „W kondukcie żałobnym — czytamy — znajdowało się 25 samochodów”.

Kiedyindziej znowu po opisie zasłużonego żywota robotnika F. J., który się dorobił restauracji z ogrodem „Białego Orła” Polonia pisze. „Na czele korowodu żałobnego jedzie policja motocyklowa ze stacji South Chicago i East Side: usług policji łaskawie udzielili kapitanowie tych stacji.” „Samochodów w korowodzie naliczono 125.” „Nad grobem ś. p. Franciszka przemówił p. A. F. B., który znał długie lala zmarłego... Ze względu na obecność Amerykanów w tej samej treści przemówił po angielsku.” „Spoczął obok mogił Ojca i Matki.” „Między innymi zauważono na pogrzebie całą rodzinę R., która w dzień przedtem pochowała ojca. Obecni też byli: sędzia B. Ch. G. urzędnik miejski; M. C. główny klerk sądowy w So Chicago, cały szlab sądu tutejszego, adwokat McD., reprezentant stanowy C., kapitan C., sierżant A. z żoną. Byli też obecni najprzedniejsi przemysłowcy polscy z So Chicago.”

O pogrzebie znanego działacza miejscowego B. Czytamy: „ W korowodzie naliczono przeszło 200 samochodów, na cmentarz i innymi drogami podążyło drugie tyle samochodów. Obliczają, że było około 500”

Na stację kolei I. C. przy M i Dorchester przywitać trumnę „wyszło conajmniej 250 naszych najprzedniejszych obywateli So Chicagoskich „. „Ks. Ch. przemówił także po angielsku dla obcokrajowców. Mówił także rzewnie po polsku.”

Zjawisko wiązania się pewnych tradycji grupowych z wpływami grupy zewnętrznej (szerszego społeczeństwa amerykańskiego) jest częścią głębszego procesu, który dokonywa się wewnątrz parafialnej grupy „swoich”. Jest ono przejawem załamywania się izolacji społecznej tej grupy, a równocześnie przykładem uroku, jaki wywiera zewnętrzna grupa. Parafianom wyraźnie imponuje upodobnianie się do Amerykanów. Wśród grupy „swoich” dokonywa się nawet wyścig pod tym względem. Uznanie Amerykanów jest wysoko cenione. Sprawozdania z pogrzebów nie omieszkają podać, że ksiądz proboszcz nie tylko mówił „rzewnie po polsku”, ale, że „przemówił także po angielsku do obcokrajowców.” Za wielki zaszczyt poczytuje się udział „obcokrajowców” w

pogrzebie. Z dumą wskazuje się na tych rodaków, którzy wśród obcych zajęli wybitne stanowiska, choćby ani słowa po polsku nie potrafili już powiedzieć.

W życiu zbiorowym polskich parafii, jak i w osobistym życiu emigrantów Polaków, dążenia do trzymania się „swoich” i do wejścia do środowiska amerykańskiego ścierają się ze sobą. Ale się bynajmniej nie wykluczają. Całkowite zerwanie z grupą „swoich” nie dokonywa się od razu: zbyt wielkie dzielą je różnice. Co więcej, ostatecznie tylko przy poparciu swoich rodaków może emigrant-Polak przejść do społeczeństwa amerykańskiego, nie na prawach Murzyna, ale jako równy społecznie i kulturalnie obywatel.

W nowym oświeceniu występuje więc obowiązek wzajemnego popierania się. Popieranie to dotyczy nie tylko obrony polskości, ale równocześnie wydobywania się na wierzch w społeczeństwie amerykańskim, czyli stawania się Amerykanami. Przyczem obydwie te rzeczy tak ściśle są ze sobą związane, że niewiadomo nigdy dokładnie kiedy chodzi o jedno, a kiedy o drugie. Dążenie do awansu społecznego w społeczeństwie amerykańskim i dążenie do utrzymania łączności ze swoimi występują tu równocześnie.

Życie ekonomiczne i polityczne jest terenem najsilniej rozwijającej się propagandy popierania swoich nie tylko dlatego, że w tej płaszczyźnie stykają się swoi z obcymi i trzeba się bronić przed obcymi, lecz i dlatego, że polityka i życie ekonomiczne, to są właśnie dwie drogi do zostania Amerykaninem. Kupiec wzbogacony przy poparciu swoich, staje się Amerykaninem, tak samo, jak polityk polski, który zajął wybitne miejsce w partii dzięki poparciu swoich.

Wśród emigracji tworzy się coraz liczniejsza grupa tych, którzy dzielą swoje życie, przywiązania i dążenia pomiędzy „swoich” i „obcych”, a raczej pomiędzy dwie grupy „swoich”, siarą i nową, tych z którymi wiąże ich pochodzenie i rodzina, i tych, z którymi wiążą ich wpływy środowiska amerykańskiego i nadzieja na awans społeczny. Ci, wśród swoich zatajają swoje aspiracje amerykańskie, a wśród obcych zacierają ślady pochodzenia. Zamożni przenoszą się na mieszkanie do amerykańskich dzielnic, ale przedsiębiorstwa mają jeszcze w polskich dzielnicach i popierają polskie parafie.

Kiedy jeden z wybitnych kupców-działaczy narodowych polskich skarżył się przede mną, że Polacy go nie popierają, że żyje raczej z klienteli amerykańskiej, zapytałem go dlaczego nie przeniesie się do Amerykanów. Nie zawahał się ani przez chwilę i nie szukał patriotycznych argumentów, lecz po prostu powiedział, że nie stać go jeszcze na to, ażeby cały interes przenieść do dzielnicy zamożniejszej.

Rzecz charakterystyczna, że przepis parafialny, według którego złączenie się węzłem małżeńskim z nie-Polakiem wymaga przejścia do innej parafii, zaprowadzony został przez proboszcza, który sam mówi w domu po angielsku i reprezentuje rzymsko-katolicki (a nie narodowo-polski) kierunek. Tako proboszcz parafii polskiej, stanął jednak na stanowisku grupy, którą reprezentuje, zabezpieczając się równocześnie w ten sposób przed możliwymi zarzutami amerykanizowania.

„Tutaj nie można mówić głośno co się myśli i czuje, trza robić tak jak inni robią. Jeden boi się drugiego. Każdy musi być dyplomata, a najważniejsza rzecz nie mówić za dużo. Na zebraniach Z.N.P. to jest czasem 500 osób, ale się nie odzywają, jakby się jeden odezwał, to i drugi itd. To nieraz N, mówi: m i a r k u j się żebyś za wiele nie powiedział, żeby ci nie

zaszkodziło w biznesie”. Najwybitniejsi działacze lokalni, których patriotycznych przemówień słuchałem na zebraniach publicznych, w przyjacielskiej rozmowie później nie kryli się z tym, jak bardzo pragnęliby się wyrwać z „polskiego getta”. Nierzadko też trudno rozróżnić, gdzie kończą się szczerze dążenia narodowe, a zaczyna postępowanie, w którym frazeologia patriotyczna jest maskowaniem zgoła przeciwnych aspiracji.

Olo wyjątek z mowy aldermana na obchodzie powstaniu styczniowego w South Chicago w 1925 r.: „Sztandar amerykański, za który młodzież nasza krew przelewała jest nam drogi, jak drogą i Świętą jest nam konstytucja gwarantująca nam wolność na ziemi Washingtona. Jako obywatele polskiego pochodzenia z lojalności, a z poczucia obowiązku wobec własnego społeczeństwa będziemy się starali, ażeby nasi zajmowali wysokie stanowiska w kongresie, sądownictwie, legislaturze i w przemyśle. Bo naród, który nie bierze czynnego udziału w życiu politycznym — upada.”

Na to dyplomatyczne sformułowanie roli Polaka-Amerykanina młodsze pokolenie odpowiada prostu z mostu: „Choć Pan tu w Ameryce chleb zjada i tu interes prowadzi i pieniądze zarabia i obywatelem się zowie, jednak z Ameryką nie pracuje, tylko z jakimś dalekim krajem i w ten sposób daje nam pewne prawo do wierzenia, że „ani me ani be” w angielskim nie umie. Jeżeli tak musi być, więc niech Pan zapakuje swoje manatki i wyniesie się skąd przybył, napowrót do starych obyczajów, bo my tu chcemy tylko 100 procentowych Americans.”

## **9. Utrzymywanie się parafii.**

Widzimy więc, że parafia jako grupa „swoich”, nie jest tworem jednolitym wewnątrznie. Nurtują ją wewnętrzne konflikty, które zagrażają jej utrzymywaniu się. Utrzymywanie się parafii jest rezultatem równowagi sił, z których jedne działają dla niej, a inne przeciwko niej.

Działanie tych sił, ścierających się ze sobą występuje wyraźnie od samych początków parafii. Konflikt o nazwę parafii, konflikt o księdza, konflikt pomiędzy karczmarzami a proboszczami, konflikt pomiędzy proboszczami a związkiem narodowym, konflikt pomiędzy parafją rzymsko-katolicką, a kościołem niezależnym, którego gmina istnieje w granicach parafii, konflikt pomiędzy konserwatywnym elementem starszym, a asymilującym się elementem młodszego pokolenia. Niektóre z tych konfliktów należą całkowicie do przeszłości jak np. konflikt o nazwę, lub o księdza; inne, rozwiązane na drodze kompromisu, podziału sfer działania, jak pomiędzy „salooniarzami” a proboszczem, nie grożą zakłóceniem równowagi w parafiach katolickich (inaczej niż w wielu gminach protestanckich, gdzie pastory są bezwzględnyimi wrogami „saloonów”. choć z drugiej strony i „saloony” nie mają tak głęboko zakorzenionej tradycji, jak w polskich dzielnicach). Pozostałe wymienione konflikty stale nurtują, grożąc zakłóceniem „funkcjonowania parafii”.

Parafia jest terenem działania wielu czynników, które podważają warunki jej utrzymywania się. Baptyści i kongregacjoniści rozwijają żywą akcję społeczną w celach prozelitystycznych. Istnieje także kościół narodowy polski, choć wiede żywot mało efektowny. Knights of Pythias i liczne inne organizacje masońskie przyciągają także

trochę Polaków. Więcej znacznie znajduje zwolenników Y.M.C.A. z najlepszymi w dzielnicy warunkami rozrywki i wypoczynku. Gazety amerykańskie znajdują sobie coraz więcej zwolenników, a pokolenie już tutaj urodzone niemal całkowicie przestaje korzystać z polskich gazet. Wreszcie i kino jest poważnym czynnikiem zmian.

Różnymi drogami przychodzą więc wpływy z zewnątrz do parafii i kształtują nowe postawy i nowe poglądy. Najłatwiej zdobywają te niespokojne duchy, które dla swojej inteligencji, przedsiębiorczości i dla ambicji swoich szukają szerszego pola, aspiracjami życiowymi wybiegając daleko za parafię. Tworzy się nowe poczucie godności człowieka, które buntuje się przeciw parafialnemu systemowi.

„Jaka tu jest straszna niewola to sobie trudno wyobrazić. Na kolanach się czołgać i czołem bić pokłony. Ksiądz ma kontrolę nad wszystkimi ludźmi w parafii i władzę nad wszystkimi sumieniami. Przez system kartkowy jaki tutaj mają, ksiądz wie ile razy do roku chodzi kto do spowiedzi i później na ambonie wygraża, że „ja wiem, że tu dużo je takich co jeno raz na rok są u spowiedzi, ja dobrze wiem co to są za jedni.” To jest obrzydliwy system, system upodlenia i niewoli — czy taki system jest też w Polsce? — Co jest ta spowiedź warta, do której w taki sposób ludzi się zapędza. Wiadomo, że jak pan nie pójdzie do spowiedzi wielkanocnej, to ksiądz jak zechce to pana może zrujnować. To każdy boi się: ze strachu albo dla businessu do spowiedzi idą. Co jest taka religia warta, która na strachu buduje... Co oni zrobili z religii. To już nieraz nie wiem sam, czy ja nie jestem pomyłony, czy już nic nie rozumiem, więc poszedłem do mego znajomego księdza Meksykańskiego też katolika i pytam go, czy to się przestało być katolikiem jak się na tych kolanach tak ciągle nie czołga i nie bije pokłonów, czy to musi być taka niewola, a jeżeli kto czasem na Msze nie przyjdzie to już nie jest katolikiem. To mi powiedział katolikiem jest się raz na zawsze.

My się wstydzimy tej niewoli, w żadnej innej narodowości tego nie ma tylko w naszej. A dawniej to jeszcze gorzej było, że ludzie zaczęli odchodzić do litewskiego księdza albo do niemieckich katolików, to już jest teraz lepiej.

To wstyd jest dla nas starych, a co młodzież nasza już tu urodzona. Moje dzieci dorosłe już chodzą do spowiedzi do niemieckiego kościoła, mówią, że za kartką do spowiedzi nie pójda. Czy to tak musi być, aby się z nas inna narodowość śmiała, że my są w niewoli? Mówią, że musim to robić, co nam ksiądz każe. To ja im nieraz mówię, że przyjdzie kiedyś z tego wielki kłopot, to jakby się nieszczęście trafiło a musieliby iść do naszej parafji po pogrzeb, to ksiądz nie pochowa, bo to kartków nie oddawali, co wychodzi na to, że nie chodzili do spowiedzi — a oni brali kartki i płacili, ale do spowiedzi chodzili do innego kościoła, i na nieświęconej ziemi leżeć będą a wszyscy całą ich rodzinę palcami pokazywać będą — tutaj są już tacy. No ale co ja im mogę zrobić jak oni są dorosłe i chcą robić jak sami uważają.”

Nie mały czynnik fermentu stanowi także fakt, że według praw amerykańskich cała własność tak kościelna, jak i szkolna, zbudowana ofiarnością polskich robotników, należy do biskupa. Biskupami zaś są przeważnie Niemcy lub Irlandczycy.”

„Tyle płacimy na ten kościół, a czy tu jest co naszego, czy my tu mamy jaki głos. Nic naszego. Jakby trzeba jaką pożyczkę zaciągnąć to niema na co, choć tyle majątku

w tych kościołach. A na ten majątek co te kościoły stanowią to możnaby wielką pożyczkę zaciągnąć i pieniądze pożyczyć Państwu Polskiemu. Nic z tego nima. I w parafii głosu tu nie mamy, a ten komitet co jest to tylko tę ostatnią stronicę podpisuje. Księża z narodem nie trzymają, a jak który wikary jest z narodem, to może być pewny, że wyżej nie pójdzie tylko zawsze wikarym będzie. On musi patrzeć w inną stronę.

Księża o polskość nie dbają. Biskupa swojego słuchać muszą, a biskup jest Polakom nieprzychylny. Ani kościół, ani to co płacimy, ani szkoła do nas Polaków nie należą, należą do biskupa. To też co w tych szkołach polskości jest — bardzo niewiele. Trochę czytania, pisania, historii prawie nic. Czy to jest szkoła polska. Juźci musi być coś po polsku bo inaczej by naród wcale księży słuchać nie chciał, ale ten polski język jest w szkole i w kościele po to, aby kościół był a nie żeby Polska była — polski język, ażeby z polskiego chłopca pieniądze szły, ażeby biskup mógł milion zawieść papieżowi i kapelusze kupić.”

„Przyjeżdżali tu z Polski parlamentarzyści, przyjeżdżali biskupi, ale oni do naszego ludu tutaj dostępu nie mieli, księża ich tak dobrze trzymali, aby z ludem się nie zetknęli. Niechby byli zdjęli swoje kołnierze i poszli od domu do domu, wtedy dowiedzieliby się prawdy.”

Podnoszą się także coraz silniej głosy przeciw gazetom polskim: „Ja dawno mówiłem, żeby Polonię po angielsku drukowali. Co oni drukują w polskich gazetach, to jest tłumaczone z angielskiego. Nam nie trzeba polskich gazet, ale nam trzeba, ażeby o Polakach i Polsce pisali w angielskich gazetach. Ale kto będzie to robił, jak my tu nie mamy ludzi takich, co by to mogli zrobić. Jak będziemy mieli, ludzi ;na stanowiskach, ludzi z wpływami, to będą pisać o nich, a oni zrobią, że będą pisać o Polsce.” Chciano kiedyś Poland (miesięcznik nowojorski) rozpowszechnić wśród Amerykanów. „To chcieli i tu — mówi robotnik X. — tym Żydom w stalowni te Poland pokazać, ale nimial kto; ten nie śmiał, to ten znów bojał się, że jak to zrobi, to go sfirują i tak nie dali.” „Patriotyzm, co wart taki patriotyzm, kiedy Polacy niemal wybudowali tę stalownię, 50 lat w niej pracowali, a Polaków nie ma wcale na naczelnych stanowiskach. Dlaczego? nie umieją po angielsku, nie znają amerykańskiego środowiska, boją się. Z tym trzeba walczyć.”

Podobne głosy podnoszą się przeciw harcerstwu polskiemu, i organizują się kluby amerykańskie dla polskiej młodzieży. „Trzeba raz już skończyć z hasłem swój do swego, z czego słusznie Amerykanie się śmieją. Toż wszyscy tutaj jesteśmy swoi, wszyscy obywatele jednego państwa.”

Takie same głosy dochodzą poprzez gazety i z innych dzielnic polskich w różnych miastach amerykańskich i potęgują się.

Czytamy w Aineryka-Echo:

„... Kosztem naszego odosobnienia w osobnych „polskich” dzielnicach jest nasze ogólne upośledzenie w mniemaniu amerykańskiego społeczeństwa. Żaden szanujący się Amerykanin nie chce mieszkać w takim „foreign section” danego miasta.

Polacy amerykańscy mieszkający w tych „obcych” dzielnicach po trzecie pokolenie wciąż są uważani za „foreignerów” za jakąś istotę niższą. Częste są

wypadki, że najgłupszy ulicznik ajryski (irlandzki) ma lepsze wzięcie jak inteligentny Polak. Dlaczego?

Musimy za to złożyć dzięki naszym działaczom na niwie narodowej i ich złe pojętym patriotyzmie. Chciano nas tu utrzymać jako czystych Polaków, jako naród w narodzie. Nie kazano nam się interesować naszym otoczeniem. — Jedyne Polską i skamieniem własnej duszy—bardzo ładnie i romantycznie, ale nie całkiem praktycznie.

Skupiając się w czysto polskie kolonie nie daliśmy poznać się ze strony społecznej — strony towarzyskiej — ogółowi amerykańskiemu. Nikt się nami nie interesował, bo nas nikt nie znał. Dla nieznanego nigdy nie czuje się tyle sympalji co do znajomego.

O nieznanym obcym człowieku łatwiej się uwierzy rozmaite złośliwe plotki jak o człowieku, którego się dobrze zna i z którym się żyje, zwłaszcza gdy ten nieznanomy jest taki odludek, że się zakuje we własną żółwią skorupę i poznać się nie da. Gdy jest jaki lepszy „dziab” daje się swoim a nie obcym.

Nie interesowaliśmy się amerykańską polityką, a amerykańska polityka nie troszczyła się o nas.

Zamiast się czym prędzej zlać w amerykańską całość, ażeby się stać równi z równymi — obawialiśmy się wynarodowienia — które ewentualnie i tak nastąpi — i zostaliśmy obcymi bez wpływu.

Czyż nie moglibyśmy tak samo czuć sympatię do Polski stając się czym prędzej Amerykanami polskiego pochodzenia i zlać się w jedno społeczeństwo amerykańskie — być uważani za takowe przez ogół amerykański — jak to uczynili Ajrysze, Niemcy, itd. Mielibyśmy o wiele więcej wpływu, a dziś o wiele więcej możliwości pomożenia Polsce bo by nas prędzej wysłuchano.

Więc wbrew krzykom narodowościowców moja rada jest: dążmy do społecznej, kulturalnej i duchowej łączności z ogółem amerykańskim. Poznajmy ich i dajmy się poznać. Rozprószmy się po całym mieście, gdzie kogo stać.”

Pod wpływem tych dążeń idących w parze z podnoszeniem się poziomu ekonomicznego parafii, dokonywają się w niej ważne procesy. Bush, najbardziej starokrajaska część dzielnicy wyludnia się powoli. W 1920 r. ogół ludności białej wynosił 7561, a w 1930 — 6834. Część starych wróciła w międzyczasie do Polski. Inni wywędrowali na zachód pobudowawszy sobie domki w czasie prosperity. Inni jeszcze zamożniejsi zamieszkali w bogatszej dzielnicy kilka ulic na północ i tylko przedsiębiorstwa mają jeszcze tutaj. Na ich miejsce przybyli Meksykanie, których stalownia sprowadziła w czasie strajku; było ich na tym odcinku w 1930 r. — 682. Zwiększa się choć powoli odsetek naturalizowanych obywateli. W r. 1920 naturalizowani (powyżej 21 roku życia) stanowili 28,65% ludności, w r. 1930 — 34,79%.

Te zmiany w ilościowym i jakościowym składzie polskich parafii będące niezwykle pociągającym a dotychczas nietkniętym terenem badań, należą do bardziej interesujących aspektów nie tylko dzielnic polskich, lecz miast amerykańskich w ogóle.

Bliższa analiza wykazałaby, że pomiędzy poszczególnymi parafiami Poł. Chicago, które traktowaliśmy dotychczas jak gdyby identyczne, zachodzą bardzo poważne różnice. Zwłaszcza dwie najnowsze parafie Św. Magdaleny i Sw. Bronisławy wyodrębniają się wyraźnie, składają się bowiem z elementu ludzkiego wyraźnie wyselekcjonowanego. Mieszkańcy tych parafii, to przeważnie dawni mieszkańcy Bushu, którzy, wzbogaciwszy się, wyprowadzili się w „lepsze strony”, dalej od stalowni. Mieszka tu już „śmietanka”, która z pogardą patrzy na Bush. „Nie mogliśmy tam wytrzymać - mówił mi były rzeźnik z Bushu, bo te ludzie nic nigdy porządnego nie kupili, jeno za 5 centów jakich kości. To już nam się to dziadostwo tak uprzykrzyło, że uciekaliśmy od niego, jak można najdalej.”

W okresie 1910—1920 ludność Bushu zmniejszyła się o 15%; podczas gdy stan zamieszkania kilku ulic dalej (pomiędzy Commercial i Colfax) zwiększył się w tymże czasie o 88%, a jeszcze dalej na zachód (pom. Stony Island i Colfax) o 277%.

Zaczynający się dopiero proces wyludniania się Bushu (albo Michałowa) powstrzymany został przez depresję. Naturalną konsekwencją ekonomicznego i społeczno-kulturalnego podniesienia się ludności Bushu byłoby zupełne opuszczenie tej części dzielnicy przez Polaków. Po Polakach przejmować już ją zaczęli Meksykanie, tak jak Polacy przejęli ją po Niemcach. Zjawiska te są bardzo typowe dla procesów migracyjnych w obrębie miast amerykańskich. Tak np kościół Sw. Stefana przy ul. Ohio i Sangamon, zał. w 1869 r. był przez długi czas ośrodkiem dużej i zamożnej parafii z językiem angielskim. Następnie liczba parafian zmalała do 10 rodzin i w 1916 r. parafia zamieniona została na mieszaną narodową, ponieważ w sąsiedztwie osiedliło się już wiele rodzin polskich. Obecnie jest to w praktyce kościół polski, w którym kazania odbywają się w polskim a nie angielskim.

Sam czas pracuje przeciwko Bushowi. Starzy wymierają. W roku 1920 urodzonych w Polsce było na tym odcinku 2 629. a w 1930 r. już tylko — 1 634. Rodzą się nowi ludzie. Wychowują się w konflikcie ze starymi. Chodzą jeszcze wprawdzie do kościoła, ale już na tę najkrótszą Mszę, z rodzicami w domu mówią jeszcze po polsku, ale na „otsajd” (poza domem) i między sobą już tylko po angielsku; księdzę w rękę już nie całują i buntują się przeciw tradycyjnemu systemowi uległości.

„Ten indiański poród”, jak ich określił jeden z ojców, zagraża parafiom polskim od wewnątrz. Te jednak nie pozostają bezczynne. Nad procesem zmian starają się choć w części panować i nadać im ogólny kierunek. Wychowują tę młodzież dla siebie przy pomocy swojego systemu wychowawczego w szkole parafialnej. Tej szkole i temu systemowi wychowania musimy się więc przyjrzeć bliżej.

## **10. Szkoła parafialna jako instytucja społeczna.**

W rozważaniach nad szkołą parafialną, należy uwzględnić, że nie jest ona wyłącznie instytucją lokalnej parafii. Jest częścią organizacji Kościoła Katolickiego, jak również musi spełniać pewne funkcje wobec państwa. Szkoły parafialne podlegają władzy biskupów i przepisom kościelnym, są więc instytucjami Kościoła Katolickiego; równocześnie jednak muszą odpowiadać wymaganiom, stawianym wszystkim szkołom

przez władze szkolne publiczne” (lokalne lub stanowe) i w tym sensie są także instytucją publicznego systemu, szkolnego państwowego.

Struktura społeczna szkoły parafialnej, jest więc bardzo poważnie ukształtowana przez te rozleglejsze grupy społeczne, jaką jest Kościół i państwo. Niemały wpływ wywierają również ogólnonarodowe związki polskie. Szkoła parafialna nie mogłaby powstać pod wpływem czynników, ograniczonych ciasnymi granicami lokalnymi poszczególnych parafii.

W izolowanej, małej społeczności lokalnej nie ma miejsca dla szkoły i zainteresowań intelektualnych. „Rozwój intelektualnych zainteresowań jest ściśle związany — piszą Thomas i Znaniecki — z przełamaniem izolacji chłopskiej społeczności i wynikającą stąd dezorganizacją starego systemu.”

Z drugiej strony jednak szkoła parafialna jest wyraźnie instytucją parafii. Parafie utrzymują swoje szkoły i nauczycielki. Utrzymywanie się szkoły w parafii jest zależne całkowicie od chęci parafian ponoszenia ciężarów szkolnych. Od parafii też zależy jaki narodowy charakter posiada szkoła parafialna: polski czy angielski. O zmianie narodowego i kulturalnego charakteru szkoły decydują ostatecznie, te przeobrazeniowe procesy, które się dokonują w łonie parafii.

Dlatego, nie lekceważąc szerszych, rozleglejszych aspektów o funkcji szkoły parafialnej, zśrodkowuję się głównie na tym miejscu, na jej aspektach lokalnych, na jej związkach z lokalną grupą swoich, uwzględniając szersze aspekty tylko o tyle, o ile wpływają one na aspekty lokalne.

### **11. Potrzeba szkoły i wykształcenia.**

Trzeba było czasu, ażeby tworzące się kolonie polskie odczuły i zrozumiały potrzebę szkoły. Odległość od domu i potrzeba komunikowania się z oddalonymi krewnymi, sprzyjały zapewne uświadomieniu sobie niewygody wynikającej z nieumiejętności pisania i czytania. Na ogół, nie przywożono jednak ze sobą tradycji dawania dzieciom wykształcenia; a pierwotne środowisko tworzących się kolonii nie sprzyjało rozwijaniu się takich tradycji. Według danych spisu z 1930 r. wśród ludności Bushu w wieku 21 lat i wyżej analfabeci stanowili 41,16%.

Myśl dorobienia się i powrotu do kraju tłumiała wszelkie inne dążenie; również dążenie do wykształcenia. Opanowani tą myślą emigranci, zapędzali dzieci do pracy, skoro tylko były one w stanie, pracą zarobkową wykonywać.

Dążenie do wykształcenia natrafiało na opór tradycji społecznych, przeniesionych ze starego kraju. „To przyjechałem tu — opowiada mieszkaniec dzielnicy — do South Chicago 32 lata temu, jako chłopiec 16-letni, nie umiejący ani czytać ani pisać, nie tylko po angielsku ale i po polsku, wysiadłem na dypu i płacze, co ja tu nieszczęsny ze sobą zrobię. Nikogo nie było, co by mi powiedział, nie płacz chłopcze, jakoś to zrobimy, pójdziesz do szkoły. Otworzyli tu jakieś kursa, ja się chce zgłosić, a to się ze mnie chłopcy śmieją: „Idź, idź to się na arystokratę wyuczysz, a to ci na co, wincy jak robotnikiem nie będziesz, choć się i nauczysz czytać i pisać”. To mi mój stryjek to samo mówił. Jak kto przyjechał, to myślał, aby trochę grosza zrobić i wrócić. To inne emigracje, jak tylko kto przyjechał, to już mu zaraz dali książki do ręki, tu masz angielski, a tu niemiecki albo szwedzki, mało

głowy nie połamał, ale się wkońcu nauczyć musiał. A naszej emigracji to nikt szkoły nie pokazał jeno: Kościół, karczma i dziwki.”

W warunkach ekonomiczno-społecznych tworzenia się kolonii polskich, jak wogóle w warunkach tworzenia się Stanów Zjednoczonych, istniał ogromny popyt na pracę fizyczną, nawet bez elementarnego wykształcenia. Warunki te premiowały wyraźnie siłę fizyczną, jednostki zdrowe i silne, a nie inteligencję i wykształcenie. Toteż i wśród emigracji wybijały się raczej jednostki zdrowe i wytrzymałe, sprytne i przedsiębiorcze, niż wykształcone.

„Chłop tu w Ameryce — opowiada inny mieszkaniec dzielnicy — przyszedł prędy na nogi jak człowiek wykształcony. Jak chłop przyjechał, a silny był i zdrowy, to wszędzie robotę dostał, bo wszędzie rolnika potrzebowali. Po angielsku mówić nie potrzebował i pracę dostał. A ten wykształcony to do fabryki nie poszedł, a czasem to go i wziąć nie chcieli, a swojej roboty też dostać nie mógł, bo nie znał angielskiego i tak marnował się przy zmywaniu talerzy albo inny robocie. Toteż tutaj pieniądze robił wyrobnik nie panek, i tak idzie z ojca na syna. Syn już inny roboty nie patrzył, tylko tak jak ojciec. I wiele tu było takich rodzin, co chcieli kształcić synów, a oni nie chcieli się kształcić.”

W tradycjach społecznych dzielnicy kariera życiowa nie kojarzy się z wykształceniem: wybilność społeczna nie wymaga tutaj wykształcenia. O dziejach wybilności p. R., pierwszego polskiego lidera demokratycznego w Poł. Chicago i okolicy, najpopularniejszego i najwybitniejszego przywódcy lokalnego polskiego podano mi opowieść pod tym względem bardzo interesującą. Przed nim było już kilku aldermanów (radnych miejskich) Polaków jak K, D., ale nie utkwili oni w pamięci kolonii. Mówi się tylko o R., o starym R. każdy wie. Historię jego kariery tak mi przedstawiono:

„Przyjechał sobie chłopaczek ze starego kraju, dostał robotę do pomocy furmana (woźnicy), a późni na kolei. Poznał się z córką F. (już wówczas zamożniejszego osadnika w dzielnicy) i ożenił się z nią. To te ludzie to mówili temu F.. czego te córkę za Rucha (Ruska) wydał za męż. Ruch to już było coś gorszego tutaj za tamtych czasów, a F. to był z Poznańskiego. Tak ten teść pomógł R. założyć saloon na „kierkach”. I tak prowadził on saloon bez jakis czas, a że on był Rusek, a ona Pruska, to mieli kastamerów (odbiorców) i stąd i stamtąd. Ona to po niemiecku dobrze umiała, a on i po rusku i po litewsku się rozmówił, a i po charlacku, tak, że każdy do niego szedł. A to w tyn czas to było tak, że te, co w stalowni pracowały to pracowały godzinę, abo pół i drugie pół to spelowali i mieli pozwolone iść do saloonu piwa się napić. To przyszedł jeden drugi, a i było mienso darmo, to popatrzal wybrał se, jak mu co podpadło to zjadł, a ten lunch to był darmo. I tak szło wi pan jakis cas, aż tu panie ludzie mówią, ze R. se telefon w saloonie zakłada. W tyncas to telefon to był zadkością w ty okolicy. Było ich tu może cztery albo pięć wszystkiego: u fajermanów, na plebanii, w aptyce. To panie jak ten telefon R. założył, to było tak, ze niera gorącka, ze niepodobna wytrzymać zabrakło piwa R. do telefonu i piwo jest. I tak tez te inne saluniści się schodzili do tego telefonu, bo on jeden miał telefon. Ale te dostawcy z browarni to widzą w książkach, ze R. najwiency piwa sprzedaje. To jak uni to widzą, to jak R. zamówi 4 beczki, to uni mu wyślą 6 beczków, a jak te rozwoziciele zabierali półtora woza piwa, to te manażery każą im zabrać dwa i jak co

nie sprzedadzą, to niech zostawią u R. To R. najpirw nie chciał, ale się zgodził i tak se taki jakby skład u niego zrobili. To jak taka gorączka je, piwa ludzie chcą to jeden, a drugi saluniarz do R. telefonować po piwo. to R. mówi mam tu beczkę to możesz zabrać, jak chcesz — to znów przy tej okazji przepili i tak szło. To jak z ty browarni widzą, że tyn R. tak mocno to piwo sprzedaje i przychodzi ten do rachunku i mówią mu, że on tak to- inocno sprzedaje i że te lunche to go pewnie kosztują — a co to go panic mogło kosztować, jak najlepszego miensa font byt 3 centy, a on najlepszego nie dawał — to mu strąca 5 dolarów, aby to straty na tych lunchach nie miał. Późnij to został agentem ty browarni oprócz tego, co piwo sam sprzedawał. A że te wielkie biznesa to zara są i w polityce, to jak późni to R. zara dziab (job) dostał, bo już wiedzieli, że jak on najwięcy piwa sprzedawał, to tyż najlepi znany być musiał. I tak od jobu do jobu aż został wiceprezesem od tych wszyslkich latarniów i poprawków w calem mieście — improvments — a późni to prezesem. A ile panie tych tu latarniów w mieście trza było, a ile ulice budować — onto budował te outer drive — jakie to pieniądze szły na to. I ten człowiek ni miał wykształcynia, ale miał tyn język i ten olej w głowie i bez tyn telefon doszedł do tego czym był. I to późni już nie mówili Ruch, ale każdy mówił, że te Ruski też olej mają.”

Dzisiaj jeszcze, kiedy danie elementarnego wykształcenia młodzieży stało się już w dzielnicy zwyczajem, to wykształcenie średnie, choć jest również, jak szkoła powszechna, bezpłatne, dopiero zwolna toruje sobie drogę do dzielnicy. Niewielki odsetek młodzieży po skończeniu szkoły powszechnej bierze dwuletni kurs zawodowy w szkole średniej; znikomy odsetek bierze kursy przygotowujące do uniwersytetów. W r. 1920 na ogólną liczbę 250 dzieci w Bushu w wieku 16 do 17 lat (czyli powyżej obowiązku szkolnego), tylko 35, czyli 14% uczęszczało do szkoły, a w wieku lat 18—20 tylko 2,94%. Na najzamożniejszych zaś ulicach Poł. Chicago, w prostokącie ul. 79—87, Colfax-Stony Island odsetek ten wynosił 29.2% i 9,83%, podczas gdy w tymże roku odpowiedni odsetek dla całych Stanów Zjednoczonych wynosił 12,9% i 14,8%.

## **12. Kształtowanie się zwyczaju wysyłania dzieci do szkoły.**

Zwyczaj wysyłania dzieci do szkoły kształtował się pod wpływem wielu równocześnie działających czynników. Jednym z czynników naczelnego znaczenia w rozwoju szkolnictwa elementarnego było wprowadzenie państwowego (stanowego) przymusu wychowania elementarnego. W stanie Illinois, do którego należy Chicago pierwsze prawo o obowiązku szkolnym wyszło w 1883 r. Prawo to nakładało na wszystkie dzieci pomiędzy 8 a 11 rokiem życia obowiązek uczęszczania do szkoły przez 12 tygodni w roku. Prawo to nie określało jednak bliżej sposobu przeprowadzenia tego obowiązku i nie wpłynęło na poprawę sytuacji wyrażającej się w dziesiątkach tysięcy młodzieży w wieku szkolnym, zwłaszcza młodzieży imigrantów, nie uczęszczającej do żadnej szkoły. Dopiero następne prawo w 1889 r. ustanowiło specjalnych urzędników, mających dopilnować przestrzegania ustawy. Prawo to określało także, że dzieci mogą uczęszczać zarówno do szkół publicznych, jak i prywatnych (a więc i parafialnycli) „uznanych przez Urząd Szkolny”.

Ściśle z rozwojem obowiązku szkolnego pozostaje rozwój prawa nad ochroną pracy dzieci. Jak długo praca dzieci nie podlegała żadnym ograniczeniom i zatrudnianie dzieci zostawione było rodzicom i przedsiębiorcom, tak długo obowiązek szkolny musiał

pozostać na papierze. Jak w Stanach Zjednoczonych (a nie tylko w Stanach Zjednoczonych), tak i w naszej kolonii, obowiązek szkolny wchodził w życie dopiero z rozbudową ochrony ustawodawczej nad pracą i z rozbudową organów inspekcyjnych.

Trzeci czynnik rozwoju szkolnictwa elementarnego, to Kościół Katolicki, który od początku Stanów Zjednoczonych musiał zabiegać o rozwój własnego szkolnictwa i rywalizować ze szkolnictwem publicznym o władzę nad duszami młodzieży. Z natury rzeczy emigracja z kraju katolickiego, jakim jest Polska, była terenem dla rozbudowy szkolnictwa katolickiego. Szkolnictwo takie Kościół Katolicki musiał organizować także ze względu na żywą działalność różnych wyznań protestanckich. W Południowym Chicago działa szereg takich wyznań, że wspomnę tylko Baptystów i Kongregacjonistów. Co więcej jedyna czytelnia polska w parafii Sw. Michała, jest utrzymywana przez Baptystów, a inicjatywa założenia klubu chłopców w tej parafii, która wyszła z Uniwersytetu Chicagoskiego, znalazła uznanie miejscowego duchowieństwa, głównie ze względu na stworzenie przeciwwagi dla istniejących już klubów protestanckich, a przede wszystkim miejscowego oddziału Y.M.C.A.

Czwartym wreszcie czynnikiem rozwoju elementarnego szkolnictwa był polski ruch narodowy, znajdujący głównie wyraz w potężnej organizacji Z.N.P., która ma w Południowym Chicago kilka swoich silnych oddziałów. Z tym ruchem wiąże się założenie w dzielnicy już w 1893 r. biblioteki i czytelnicy polskiej Tow. Tadeusza Kościuszki, obecnie nieistniejącej i zupełnie zapomnianej.

### **13. Postawy względem szkoły parafialnej.**

Na powstanie w dzielnicy szkoły parafialnej polskiej złożyło się więc szereg czynników szerszej, a nie lokalnej natury. Gdyby nie ogólnopństwowy obowiązek szkolny, to rozwój szkolnictwa parafialnego poszedłby innymi drogami. Obowiązek szkolny sprawił, że ojciec wysyłający dzieci do szkoły nie miał wyboru pomiędzy wysyła-

#### 14. Szkoła publiczna a szkoła parajjalna.

Szkoła publiczna, jako część odrębnego systemu społeczno-kulturalnego, zagraża wielu podstawowym instytucjom i zwyczajom społeczno-kulturalnego systemu parafii.

Przede wszystkim bezwyznaniowość szkoły odsuwa od niej parafian, jej to głównie zawdzięcza ta szkoła określenie „żydowskiej”. Uczęszczanie do szkoły publicznej jest potępione przez prawo kanoniczne. „Dzieci katolickie — mówi prawo kanoniczne — nie mają uczęszczać do szkół niekatolickich, lub neutralnych, lub mieszanych, to jest takich, w których przystęp jest wolny również niekatolikom. — Należy to wyłącznie do samego Biskupa djecezji zdecydować, w których warunkach i z jakimi przestrogami uczęszczanie do takich szkół może być tolerowane, bez niebezpieczeństwa perwersji uczniów.”

„Postępują nowocześni oświeciciele tak — pisze ks. Gadacz o szkołach publicznych — jakby Boga nie było wcale w dziełach przyrody, w historii, w literaturze, w naukach przyrodniczych, które dziecku podają jako duchowy pokarm codzienny. Nikt tam dziecku na Boga nie wskaże, a choć wyraźnie nie mówi się nic przeciw Bogu, to jednak sentyment jest ateistyczny. Duch bezwyznaniowości robi swoje, rzeźbi karby obojętności religijnej w duszach młodocianych i na całe życie pozostawia glebę jałową, a duszę obywatela przyszłego bez myśli, bez wycucia, bez żadnej łączności ze swym Stworzycielem, wiecznością i światem nadprzyrodzonym.”

„Dziś te szkoły — pisze znowu ks. J. L. Pudło — zostały zagrożone w swych podstawach przez groźne przesilenie gospodarcze i wiele z nich poczyna chylić się ku ruinie. Do tego jednak dopuścić nie można, pod groźbą klątwy Boga i Narodu, która winnych dosięgnie bezwzględnie.”

Władze kościebie bezwzględnie zwalczają uczęszczanie do szkoły publicznej, a proboszczowie odmawiają za to rozgrzeszenia przy spowiedzi.

Nowoczesne metody nauczania w szkołach publicznych nie odpowiadają tradycyjnym poglądom parafian na te sprawy. „Tam tych dzieci nie uczą, jak być powinno, jeno tych cacków im nastawiają i tymi cackami zabawiają; to im znowu zrobią, że uni dziumpają (skaczą), a piano gra. Czy to je szkoła? No już u siostrów to tak nimo, tam musi się cosik uczyć.”

System wychowania w szkole publicznej nie godzi się z tradycyjnymi pojęciami o wychowaniu. „Nowoczesne systemy naukowe szkół publicznych — czytamy w artykule ks. Gadacza na ten temat — powołują się na rzekomą autonomię i niczem nieograniczoną wolność dziecka. — Zmniejszają one, a nawet usuwają powagę i działanie wychowawcy, przypisując dziecku pierwszeństwo inicjatywy w zakresie wychowania i działanie niezależne od wszelkiego wyższego pierwiastka i prawa Bożego.”

„Prawdę mówiąc, — pisze ks. J. L. Pudło — szkoły publiczne wcale nie wychowują. Są to piękne i kosztowne fabryki, w których uczą nieszczęśliwą dziatwę czytać, pisać, rachować, a na rozrywkę trochę sportu i mordobicia. Skutki fatalne nie kazały długo czekać na siebie. Policja rady sobie dać nie może, a bezradne społeczeństwo poczyna nad tym stanem rozpaczliwie łamać ręce. Czy chcemy i nasze dzieci wychować na bandytów, którzy nie oszczędzą nawet własnej matki i ojca.”

„Co te dzieci w tych szkołach publicznych nie wyprawiają — mówił mi miejscowy proboszcz. — żadnej dyscypliny. Jakie dziecko można wychować bez dyscypliny. W szkole musi być dyscyplina albo nie ma wychowania.” „Trza bić — mówił mi, jeden z licznych głosów rodzicielskich — bo by inaczej rady z nimi nie dał.”

Nacisk na dyscyplinę w wychowaniu wiąże się z tradycyjnymi patriarchalnymi poglądami o bezwzględnej władzy rodziców nad dziećmi. Kwestionariusz przeprowadzony przez Carpentera i Katza wśród Polaków w Buffalo wykazał, że 91% badanych wypowiedziało się za bezwzględną władzą rodziców nad dziećmi niepełnoletnimi, a 70% wypowiedziało się za taką władzą również nad dorosłymi dziećmi. „Tutaj — konkludują autorzy — znajdujemy wyznawanie poglądów sprzecznych bardzo z amerykańskimi wzorami.”

Ze swoimi odmiennymi poglądami na stosunek dzieci i rodziców szkoła publiczna podważa tradycyjny stosunek patriarchalny. Autorytet społeczno-kulturalny rodziców-imigrantów wobec amerykańizujących się szybko dzieci ogromnie słabnie, rodzice przestają być wzorem dla dzieci, i w tym konflikcie społeczno-kulturalnym dwóch pokoleń: rodziców i dzieci, szkoła publiczna staje wyraźnie po stronie dzieci i w ich obronie. Propaganda za szkołami parafialnymi podkreśla właśnie ich wartość dla wychowania dzieci w posłuszeństwie dla rodziców. Wysłanie córki do szkoły, prowadzonej przez siostry, robotnik P. uzasadniał: „ażeby się tam nauczyła ludzkości, poszanowania dla rodziców. Siostry to ją najlepiej nauczą.”

Wysyłanie dzieci do szkoły parafialnej wiąże się ściśle z dążeniem do utrzymania rwiącej się więzi rodzinnej. Nauczenie się języka polskiego, które obok religii jest podawane powszechnie przez robotników, jako uzasadnienie posyłania dzieci do szkoły parafialnej, wiąże się także ściśle z więzią rodzinną — daleko ściślej niż ze świadomością narodową. Zapewniając dzieciom język ojczysty, ratują je dla rodziny i dla siebie. Z utratą języka polskiego, straceni są dla rodziców, którzy mówią tylko po polsku, i dla polskiej rodziny na obczyźnie i w kraju. Uzasadniając wysyłanie dzieci do szkoły parafialnej młody Polak-Amerykanin wyraził się „jeżeli mówią tylko po angielsku, to nie mogą rozmawiać z polskimi krewnymi i kuzynami, którzy ich odwiedzają.”

## **15. Siły pracujące dla szkoły amerykańskiej.**

Szkoły publiczne zjednują sobie jednak powoli klientelę wśród Polaków. Przede wszystkim, jak już poprzednio nadmieniałem, do nich uczęszczają dzieci tych rodziców, którzy tylko pod przymusem wysyłają dzieci do szkoły. Byłoby interesujące wiedzieć, jak wielki odsetek polskich dzieci ze szkół publicznych, należy do tej kategorii. Obliczenia jakiegokolwiek są tu jednak praktycznie niemożliwe.

Ta kategoria nie wyczerpuje jednak wszystkich dzieci szkoły publicznej, w której na około 2 000 dzieci, około 90% (według opinii kierowniczkii szkoły) stanowią Polacy. Prądy nurtujące w dzielnicy, na które poprzednio zwróciłem uwagę, osłabiają stopniowo lojalność względem instytucji parafialnych. Przy osłabionej zaś lojalności szkoła publiczna przedstawia wiele cech atrakcyjnych.

Sama bezpłatność szkoły publicznej stanowi poważny czynnik atrakcyjny zwłaszcza w czasach kryzysu ekonomicznego. W szkołach parafialnych opłata wynosi (50 centów od dziecka. Po wtóre przedszkola coraz bardziej rozpowszechniające się przy szkołach publicznych, a mało rozpowszechnione w szkołach parafialnych, przyciągają znaczny procent dzieci. Według ks. Cunningham'a, naczelnego inspektora szkół katolickich w Chicago, rosnąca popularność kindergardenów w szkołach publicznych jest główną przyczyną spadku stosunkowego zapisów dzieci do I stopnia szkół parafialnych. Dziecko zostaje zapisane do kindergartenu i najczęściej chodzi do szkoły publicznej do 1, 2 i 3 słośnia, a dopiero koło 3—4 stopnia zostaje przeniesione do szkoły parafialnej i pozostaje w szkole aż do końca. Ks. Cunningham poleca wobec tego zakładanie kindergardenów przy szkołach parafialnych, tam gdzie na to pozwalają warunki.

Zwyczaj wysyłania dzieci przez kilka lat do szkoły publicznej, a następnie do szkoły parafialnej, jest formą przystosowania względów ekonomicznych, a w części dążeń asymilacyjnych do wymagań religijnych Kościoła Katolickiego. Dziecko zostaje przeniesione do szkoły parafialnej polskiej dla przygotowania się i przyjęcia Komunii. Kwestjonariusz Carpentera i Katza wśród Polaków w Buffalo wykazał, że 51% wypowiedziało się za kompromisem pomiędzy szkołą parafialną i publiczną (ażeby większą część czasu młodzież spędziła w szkole publicznej, a jakieś 2 lata w parafialnej) zaledwie 21% wypowiedziało się za tem, ażeby cały okres szkolny był spędzony w szkole parafialnej. Kompromis taki jest jednak potępiony przez prawo kanoniczne i zwalczany przez władze kościelne. Opowiadano mi, że w jednej parafji dzielnicy przyjmowano wprawdzie dzieci do Komunii, ale w odróżnieniu od dzieci szkoły parafialnej „nie mogą one nosić welonków”. Tolerowanie tego zwyczaju przez polskich proboszczów spowodował w znacznej mierze fakt, że dzieci zaczęły przyjmować Komunię w sąsiednich kościołach katolickich litewskich, niemieckich, a nawet meksykańskich, wobec czego odmowa udzielenia Komunii takim dzieciom, mogłaby prowadzić do całkowitego stracenia tych rodzin dla parafji. „Księża to lepi z narodem teraz trzymają, bo wiedzą, że jak nie będą trzymać, to ludzie pójdą do Irishów albo do Litwinów. A dawni to nic sobie z narodu nie robili.”

Z kształtującym się nowym poczuciem godności własnej rodzi się również reakcja przeciw tradycyjnej dyscyplinie szkolnej, a zwłaszcza przeciw nadużywaniu bicia przez siostry-nauczycielki. Utrzymanie porządku wśród ludności szkolnej, rekrutującej się z pokolenia „pogranicznego” o dezorganizującej się obyczajowości i więzi grupowej nie należy do rzeczy łatwych. Tym bardziej, że w dzielnicy nie ma absolutnie tradycji współdziałania rodziny ze szkołą i żadne formy takiego współdziałania jeszcze się nie rozwinęły. Ucieczka do kija jako narzędzia porządku społecznego leży więc na drodze najmniejszego oporu, tym bardziej, że pozostaje w zgodzie z wielowiekowymi tradycjami wychowawczymi.

„Dwa lata temu — opowiadano mi — dziecko przyszło ze szkoły ze czterema śladami na plecach od bata. Sine ślady. Rozchorowało się, lekarz zabronił mu chodzić do szkoły. Dziecko było tak przestraszone, że przez długi czas drżało ze strachu, kiedy siostra kolo niego przechodziła. Siostra przełożona sprawę zatuszowała.”

„Mój syn — opowiada inny mieszkaniec dzielnicy — chodził do publicznej a potem do polskiej go przeniosłem. To już mie słuchy dochodzą, że siostra powiedziała, że mój syn będzie bity. Pytam go samego, czy go siostra bije, on mówi że nie. Nie chce się przyznać, bo to go tam w szkole uczą, że „nie mów wole, co się dzieje w szkole”. Ale ja patrzę na jego ręce, a on ma wyraźnie popuchnięte palce tu w tych kostkach, wtedy się przyznał, że go siostra biła po palcach. To ja poszedł do szkoły i powiedziałem, że dziecko zabierę jak dalej bić będą. I obiecali, że mojego dziecka bić nie będą.

To panu mówię świętą prawdę, że widziałem nieraz jak matki prowadziły dzieci do polskiej szkoły, a one szły z płaczem i nazad wracały. Teraz już tak bardzo nie biją jak dawniej. Do publicznej szkoły dzieci z płaczem nie chodzą, tak się nie boją bata. Niech przestaną bić nasze dzieci a będziemy do polskich szkół posyłali.”

Z podnoszeniem się zamożności emigrantów-Polaków coraz silniej reagują oni przeciw wszystkiemu, co szkole parafialnej nadaje piętno ubóstwa i niższości społecznej. Powszechna więc jest niechęć przeciwko temu, ażeby same dzieci sprzątały szkołę — zwyczaj bardzo rozpowszechniony, ze względów oszczędnościowych. „Co do sprzątania — mówi jedna z matek, reprezentująca głos bardzo typowy — to już nie powinno być. Jak kto płaci za szkołę, to już nie powinien sprzątać. Niechby sprząтали ci co nie płacą. Jak się płaci od dziecka te 60 centów, to już powinni, te 10 centów odłożyć i wziąć kogoś do sprzątania. A i co jakiś czas, to siostry proszą, żeby im przynieść to gałganki, to mydła, to znów co innego.” Według zwyczaju szkolnego każde dziecko „ma swoje miejsce umyć”. Poza tym, poza opłatą regularną dzieci przynoszą na sprzątanie 1-3 centów tygodniowo. Nie jest to obowiązkowe, ale dzieci, które przyniosą pieniądze, zostają wypisane na tablicy.

Niezadowolenie wywołuje także wczesna Msza Św., codziennie poprzedzająca dzień szkolny.

„Niech pan pomyśli, to teraz pójść dziecku na 7 i pół do kościoła to nie jest tak trudno, ale jak przyjdzie mróz i śnieg; a czy dziecko musi być codzień na mszy.”

Wśród elementu asymilującego się coraz bardziej upowszechnia się przekonanie, że szkoła parafialna stoi na drodze wybicia się wśród Amerykanów.

Oto szereg wynurzeń:

1. „Dzieci mają wielkie trudności. Dzieci, które wychodzą z parafialnej szkoły to są kaleki i w polskim i w angielskim. Nie mogą zostać telefonistkami, gdyż mają cudzoziemski akcent W parafialnych szkołach uczą rzeczy niepotrzebnych, a nie uczą potrzebnych. Dzieci wiedzą kiedy są imieniny księdza proboszcza albo siostry przełożonej, ale nie wiedzą kiedy była bitwa pod Wiedniem. Za dużo religii. Uczą źle. Szkoły publiczne są bardziej postępowe. Szkoły parafialne i podręczniki mają przestarzałe. Przed paru laty władze szkolne zagroziły szkołom parafialnym, że jeżeli nie podniosą poziomu naukowego, to nie uzyskają prawa wstępu do high schools bez egzaminów. Odtąd siostry zaczęły się kształcić w seminarjach, bo do tego czasu to ktokolwiek bez przygotowania mógł uczyć w szkołach parafialnych. Cel szkół parafialnych to jest utrzymywanie ludzi przy parafii.”

2. „Jak taka dziewczyna czy chłopak, co wyjdą z ty parafialny szkoły — mówi inny — to uni zawdy miedzy sobą po angielsku jeno bełkocą, ale niech oni idą do City Hall (Magistratu), to oni się po angielsku nie potrafią rozmówić.”

3. „Weźma takiego bojsa albo dziewczynę — mówi inny — co tu do szkoły chodzi (pokazuje na szkołę parafialną), do portu albo gdzie na offis, żeby się po angielsku rozmówiły, to się nie potrafią rozmówić. Roznmieć to on rozumie, ale tych wyższych słów nima i się nie rozmówi. Uczą się tak angielskiego, jak polskiego, ale żadnego nie umią. Mówić to mówi, ale tych wyższych słów nie zna, jeno tak, jak na ulicy.”

4. „To jest tak panie, jak te dzieci co chodzą do parafialnych szkół, to po angielsku dobrze się nie uczą, a i po polsku także. Skąd się mogą nauczyć, kiedy same siostry dobrze mówić nie mnią. Te dzieci to są jak obłąkane.”

5. „Ja chcę panu powiedzieć, jakie były moje uczucia jak wyszłem ze szkoły parafialnej i poszedłem do Bowen High School. Ja kilka razy obszedłem parę bloków, zanim odważyłem się wejść do szkoły. Bałem się, a przecie bytem już duży chłopak, bo miałem jakie 12—13 lat. Tak się czuje każdy z tych dzieci: tu w okolicy to się pysznia, są hundred per cent American, ale jak wyjdą za 92 ulicę, to już są lost, nie wiedzą co ze sobą zrobić.”

Jedna z wybitnych działaczek Zjednoczenia Polskiego Rz.-Kat., która sama chodziła do szkoły publicznej i tylko rok była w szkoła parafialnej dla przyjęcia Komunj, mówiła mi: „Wszystkie dzieci polskie wysyłałabym do szkoły publicznej. Uczą lepiej i lepszymi metodami.”

Reakcja przeciw szkole parafialnej potęguje się w miarę jak ilość godzin nauczania polskiego zmniejsza się, a katechizmu uczą po angielsku (w klasie 5. 6, 7 i 8). „Po co mamy chodzić do polskiej szkoły i mówić pacierz po angielsku. Polskiego nauczą się zresztą dosyć w domu.”

Publiczna opinia parafii jest jednak przeciw szkole publicznej. Polonia nie wydrukuje artykułu w obronie szkoły publicznej, a nikt z miejscowych nie ośmieli się publicznie z taką obroną wystąpić.

Oto dwa charakterystyczne incydenty: W miejscowej szkole publicznej (Sultivan Public School) urządzono wystawę prac malarskich dzieci. Większość eksponatów pochodziła od polskich dzieci. Niektóre z nich posiadały tak wysoką wartość artystyczną, że Amerykanie z innych dzielnic przyjeżdżali je oglądać. Zaprosiłem więc raz redaktora Polonii, ażeby zwiedził tę wystawę i razem to uczyniliśmy. Podsunąłem myśl, ażeby napisał artykuł o tej wystawie. Okazało się, że jest to niepraktykowane w dziejach Polonii i że taki artykuł nie może wyjść od Redakcji. Obmyśliliśmy formę korespondencji do redakcji — i to jednak nie ukazało się w Polonii.

W tej samej szkole publicznej wydział socjologii University of Chicago łącznie z Instytutem Badań Młodzieży (Instilute for Juvenile Research) zorganizował oddział psychologiczny i podjął akcję eksperymentalną zorganizowania chłopców w kluby

dla społeczno-kulturalnego podniesienia ich życia. Dzielnica dostarcza bowiem znaczny procent przestępczości wśród młodzieży. Na wiadomość o tym zorganizował się komitet i urządzono zebranie najwybitniejszych działaczy miejscowych. Przewodniczący zebrania wezwał zebranych do zaprotestowania przeciwko hańbieniu imienia polskiego.

„Jak państwo wiedzą — mówił przewodniczący — eksperyment ten prowadzony był tak po cichu, ażeby nikt nie wiedział. Ludzie, którzy to robią mieli zapowiedziane, ażeby nie rozgłaszali nic o tym co robią. Opinia tutejszej Polonii poruszona została przez członka tutejszej dzielnicy, nauczycielkę, która sama nie jest polską, ale przez wiele lat uczyła polskie dzieci i kiedy się dowiedziała o tym eksperymencie, oburzyła się na to, że polską ludność chcą tutaj shańbić. Ona napisała list anonimowy do Związku Narodowego Polskiego, zwracając na to uwagę co to za eksperyment Uniwersytet Chicagoski prowadzi nad polskimi dziećmi... Wtedy ja, p. X. i p. Y. adwokat z North Side udaliśmy się do tej nauczycielki i rozmawialiśmy z nią przeszło trzy godziny i wtedy dowiedzieliśmy się, że eksperyment ten jest zamaskowaną propagandą przeciwko polskiemu wychodźtwa, że ma na celu shańbienie Polaków nie tylko w tej dzielnicy, ale całego wychodźtwa. Jest rzecz pewna, że p. Shaw, który już kilka książek napisał, jeszcze jedną książkę grubą chce napisać, ażeby polskie wychodźtwa obczernić. Wprawdzie p. Shaw mówi, że oni te badania robią w 3 szkołach, tutaj u nas, w stockyards i na North Side w najbogatszej szkole. My tego nie sprawdziliśmy, ale wątpię czy te badania są gdziekolwiek indziej prowadzone jak tutaj. Eksperyment ten ma na celu obczernienie wychoditwa polskiego... Czy społeczeństwo amerykańskie odniesie jaką korzyść z tych badań. Otóż muszę na to odpowiedzieć: żadnej korzyści. Po co wydawać pieniądze publiczne na badania, które nie przyniosą pożytku. Wiadomo, że imigracja do Stanów Zjednoczonych jest zamknięta, że ci Polacy, co są tutaj, to się zamerykanizują i za 10 lat nie będzie polskiej emigracji. Więc po co robić badania nad czymś, co przestanie istnieć niezadługo. Takich badań nie warto robić. Nauka nie odniesie żadnych korzyści z tego. I ja powiem, że p. Shaw nie prowadzi tu żadnych badań naukowych, ale zbiera materiały do nowej książki, która ma polską ludność obczernić. Mamy na to dowody... Musimy przeciwko temu stanowczo zaprotestować. Nie możemy pozwolić, aby robiono eksperymenty na naszych polskich dzieciach. Poinformowałem się, że możemy przeprowadzić sprawę przez sąd i zakaz sądowy prowadzenia tego eksperymentu otrzymać.” Przemawiając na tym zebraniu, wyjaśniałem na czym polega akcja uniwersytetu i wykazywałem, że jedynie rozsądny krok jaki społeczeństwo polskie może zrobić, to zorganizowanie Parent-teacher association (Kola rodzicielskiego) przy szkole publicznej, wzięcie udziału w akcji i czuwanie w ten sposób nad tem, ażeby imieniowi polskiemu nie stała się szkoda. Na skutek tego mojego wystąpienia opowiadano później w dzielnicy, że trzeba się mieć przede mną na baczności, gdyż jestem szpiegiem Uniwersytetu Chicagoskiego. Nota bene, do uniwersytetu tego wyjątkowo tylko przychodzi młodzież z tej dzielnicy (znam tylko jednego studenta), gdyż ma on w dzielnicy reputację ateistycznego uniwersytetu socjalistów i milioncrów).

Szkoła parafialna jest instytucją nadzwyczaj silnie ugruntowaną w życiu kolonii polskich. Kompromis pomiędzy szkołą publiczną a parafialną zdobywa sobie wprawdzie coraz więcej zwolenników, niewielu jednak dąży do całkowitego zerwania ze szkołą parafialną. Kwestjonariusz Carpentera i Katza wśród Polaków w Buffalo wykazał, że tylko 8% wypowiedziało się za całkowitem zerwaniem ze szkołami parafialnymi.

## **16. Kierunek wychowawczy parafii.**

„Tam, gdzie obok Kościoła Katolickiego nie stanie parafialna szkoła katolicka, próżno się buduje kościoły, bo już następne pokolenie nie będzie uznawało potrzeby świątyni Pańskiej i ścieżka do niej trawą zarosnie.”

„Bez szkoły parafialnej nie stanie wkrótce i parafii, bo kto ją będzie utrzymywał? Dzieci wychowane w szkole publicznej, rozproszą się po parafiach obconarodowych, bo do własnej nic ich ciągnąć nie będzie.”

Cały kierunek wychowawczy szkoły zmierza ku temu, ażeby młode pokolenia parafian przywiązać do parafii. Nauczycielkami są siostry zakonne, a cały program i kierunek nauczania są do tego przystosowane, ażeby młodzież jaknajbardziej uodpornić na wpływy środowiska amerykańskiego i protestancko-masońsko-żydowskiej cywilizacji Ameryki. Każdy dzień w szkole parafialnej rozpoczyna się od Mszy Świętej; w ciągu dnia sześć razy odbywa się modlitwa — a poza tym dzieci mają katechizm. Co miesiąc odbywa się Spowiedź.

Oto dzień w szkole parafialnej:

8:00 – 8.30	Msza Sw.
8:30 –9:15	Modlitwa Katechizm
9:15-10:00	Język angielski Modlitwa
10:00-10:15	Pauza
10:15-11:00	Modlitwa, Arytmetyka
11:00-11:30	Historia Polski
11:30-12:00	Historja Amerykańska, Modlitwa
12:00-12:45	Przerwa na lunch
12:45-13:00	Zabawa na podwórzu pod nadzorem zakonnic
13:00-14:00	Modlitwa, Geografja Ameryki
14:00-14:30	Angielskie spelling
14:30-15:00	Angielskie czytanie, Modlitwa i do domu.

Jak bardzo sposób myślenia rozwijany w szkole parafialnej odbiega od przeciętnego amerykańskiego myślenia, świadczy następujących 10 ćwiczeń szkolnych 8-mej klasy szkoły parafialnej w Steuben-ville, Na temat: *Dlaczego dziś na świecie bieda i jak jej*

zaradzić? Cwiczeiua te zostały wydrukowane w Dzienniku Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego w dniu 8 listopada 1932. Przytaczam je in extenso.

1. „Dziś jest bieda dlatego, że ludzie żyją bez Boga. Nie wierzą w przykazania, nie chodzą do kościoła, i nie wypełniają to, co się należy. Gdy ludzie mieli pieniądze, tracili je na niepotrzebne rzeczy, lub wypożyczyli je takim, co nie myśleli ich oddać.

Jedyny sposób, ażeby zaradzić depresji, jest udać się do Pana Boga. Żyć tak, jak Pan Bóg przykazał. Pieniądzy nie marnować na niepotrzebne rzeczy. Wielu z tych, co chodzi po zebranie, lepiej by zrobili, gdyby zrobili dobrą spowiedź i poprawili się.”

2. „W obecnym czasie narzekają ludzie, że są bez roboty. Mylą się kiedy mówią, że powodem tego jest Prezydent. Może być to prawda? Nie, nigdy, dlatego, że on nie daje ludziom pracy w fabrykach.

Ludzie sami na siebie sprowadzili to nieszczęście, gdyż zapomnieli o Bogu, a jak na początku Bóg bałwochwalstwo karał ogniem i potopem, teraz karze przestępstwa biedą i głodem. Ludzie potrzebują dziś więcej oświaty, ale oświaty chrześcijańskiej. Tą oświatą ludzie wszyscy nawróciliby się do Boga, a Bóg zlitowałby się nad nimi i oddaliłby karę.

Dopóki ludziom zdrowy rozum się nie otworzy, Prezydent Stanów Zjednoczonych nie może biedy załagodzić. Może on tylko najbiedniejszym dać próżne pola, ażeby ludzie mogli je uprawiać i mieć coś do pożywienia.

Jeżeli ludzie się nie poprawią, to ta bieda, jaką mamy, nie jest nawet początkiem katastrofy.”

3. „Bieda zapanowaa pomiędzy ludźmi w naszym kraju, Powodem tego jest, że większość ludzi żyje bez Boga, bez Sakramentów Świętych, nie zważając na dziesięć przykazań Boskich, które Pan Bóg im dał, aby je szczerze zachowali. A ludzie tego nie czynią.

A ci co wypełniają obowiązki swoje święte, to czasem nie mają dobrego sensu jak się maja rządzić. I to jeszcze jest powodem tego nieszczęścia te przekłete bondy pieniężne Insulla i Kruegera, które wielka ilość ludzi pokupowała, a które teraz nic są warte ani pół centa. Więc trzeba teraz Mojżesza, aby zstąpił na ziemię i oświecił ten ciemny naród, aby umiał się sam sobą rządzić.

Nie mam już nic więcej ciekawego do napisania.”

4. „Dziś jest bardzo wielka bieda na całym świecie, bo się ludzie od Boga odwracają. Ludzie nie dbają co im jest, i myślą, że pieniądze z nieba im spadną. Nie chce się im iść w niedzielę do kościoła, ażeby pomodlić się i prosić Boga o chleb codzienny. Gdyby ludzie szli do kościoła i słuchali Mszy Sw.; z uwagą, Bóg dałby im chleb powszedni, bo jeżeli Bóg stara się o ptaszki, to więcej pamięta o człowieku. Niektórzy ludzie, chociaż chodzą do kościoła, mają się źle. W tem niech winują siebie, a nie Boga. W czasie dobrych czasów, nie umieli oni grosza zaoszczędzić. Dużo jest takich, którzy składali pieniądze do banku, a banki upadły i im pieniądze poginęły. To nie ich wina, ale dopuszczenie Boże. Bóg jeden może nam dać lepsze

czasy, lecz czeka on, aż ludzie wrócą się do Niego i dziękować Mu będą za każdy kawałek chleba, co mają do jedzenia.”

5. „Bieda panuje dlatego, że nic ma roboty i nie ma pieniędzy. Gdyby ludzie poprawili się, i żyli z Bogiem — byłyby może lepsze czasy. Dawniej, gdy takiej biedy nie było, ludzie zarabiali wielkie pieniądze, ale żyli rozrzutnie. A teraz gdy nastąpiła bieda, ludzie nie mają ani pożywienia ani domów mieszkalnych.

Aby zaradzić tej biedzie potrzeba, ażeby roboty zaczęły iść. Potrzeba pieniędzy, ażeby robotnikom płacić, i zmniejszyć podatki i wydatki na różne rzeczy. Aby to wszystko uczynić, potrzebujemy nowego prezydenta, aby lepiej rządził krajem. Także potrzeba, ażeby ludzie się poprawili i lepiej Bogu służyli.”

6. „Bieda jest dlatego, bo ludzie nie chodzą do kościoła słuchać Mszy Sw. i nie zachowują praw Bożych i przykazań kościelnych. I dlatego, że się w kościele nie modlą, tylko zbytują i rozmawiają a zwłaszcza młodzi. Zamiast pieniądze zachować na czas biedy, to trwonili je na rozpusty. Dla Boga zaś nic nie mieli, więc teraz i Pan Bóg dla nich nic nie ma. I ażeby nie było tej maszynerii, to ludzie by mieli więcej roboty i nie byłoby takiej biedy.

Tej biedzie można zaradzić przez pobożną modlitwę, przez którą możemy uprosić lepsze czasy w fabrykach, i kopalniach. W czasie tej biedy starsi, a szczególnie dzieci powinni prosić Boga, ażeby bieda przeszła jak najprędzej.”

7. „Jeżeli ludzie chcą mieć lepsze czasy, to najpierw niech się udadzą do Pana Boga. Gdyby ludzie uczęszczali w każdą niedzielę na Mszę Sw. i często przyjmowali Sakrament Ołtarza, to by Pan Bóg się zlitował nad nimi. Lecz w dzisiejszych czasach ludzie tego nie czynią, więc niech nie narzekają na ciężkie czasy, bo jak sobie kto pościeli, tak się wyśpi.

Gdyby niektórzy w urzędach kolejowych i w innych korporacjach nie pobierali wprost bajecznych pensji — to by pół tego biednego ludu nie czuło nędzy. Dużo bogaczy zakłada fabryki w Europie i w Południowej Ameryce, bo tam najmują tanich robotników. Tacy bogacze popełniają grzechy wołające o pomstę do nieba.

Następnie bieda panuje w naszym kraju, bo ludzie, którzy gdy czasy były dobre, nie odkładali grosza na czarną godzinę, myśląc, że zawsze będą dobre czasy. A stało się inaczej. Ludzie w bogactwach Boga odrzucili, a więc ręka Boska dosięgła ich przez obecną depresję. Niech zaczną Bogu wiernie służyć, a Bóg miłosierny zlituje się i odwróci od nich karzącą rękę.”

8. „Bieda po dziś dzień jest nie tylko w Stanach Zjednoczonych, lecz i po całym świecie. Dzisiejsza bieda, to kara Boga. Bo ludzie w tych czasach Boga z swoich domów wyrzucają. Gdy były lepsze czasy, to ludzie nic oszczędzali pieniędzy, lecz je marnowali na niepotrzebne rzeczy. Naród cały powinien udać się do Boga, prosić i modlić się, ażeby przysły lepsze czasy, które dawniej były.

Ażeby Prezydent Hoover i jego pomocnik Mellon nie pożyczili tych tysięcy dolarów Niemcom, a pomogli tym wszystkim biedakom bezdomnym w Stanach

Zjednoczonych, to by może lepiej się działo. Ale oni chcą pokazać, co oni są. Czego ten kraj potrzebuje to lepszego prezydenta i lepszych katolików, a nie malowanych jakimi wielu dziś jest.”

9. „Dlaczego taka bieda? Bóg za jednych wszystkich karze. Bogu mamy cześć i chwałę oddawać, a nie obrażać Go. A ludzie czy czynią tak? Przeciwnie, odwracają się od Boga, wpadają w coraz to większe grzechy, a będąc w grzechach zapomnieli o Bogu, który jest naszym Ojcem i dał nam wszystko, co nam potrzeba. Jakże mogą być lepsze czasy, gdy jeden lub dziesiąty dureń zamiast iść na Mszę Św.. śpi sobie smacznie po nocnym tańcu?

Bóg da nam lepsze czasy, ale my z naszej strony musimy Mu być wiernymi. Musimy oszczędzać, a nie marnować pieniędzy na „movies” lub inne błyskotki.”

10. „Bieda czyli depresja, jak niemalże wszyscy ja nazywamy, jest karą na ludzi od Boga. Niektórzy z ludzi tak „jak na przykład poganie, którzy nie wierzą w Boga, mówią, że bieda pochodzi od rządców Stanów Zjednoczonych. Wszystkie te bezmyślne mowy są daremne, bo depresja jest karą Bożą na ludzi za ich grzechy. Ludzie, — gdy są dobre czasy, Boga nie znają, ale gdy zobaczą że jest źle, to wtedy udają się do Pana Boga. Jak to mówi nasze przysłowie: „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie”. Wiele przykładów tej kary można wyliczyć w krajach katolickich jak na przykład w Hiszpanii, w Portugalii. Niektórzy ludzie w niedzielę zamiast w niedzielę iść do kościoła, śpią sobie wygodnie i z lenistwa nie słuchają Mszy Św. Czynią z dnia noc. Na ofiarę Panu Bogu nie mają, a na libacje i rozpusty wiele tracą. Jakże więc mogą być dobre czasy, kiedy tyle ludzi źle żyje! Pan Bóg czeka aż lud się naprawi, a kiedy trwa w złem, wtedy zsyła karę. Jeżeli chcemy biedzie zaradzić, musimy oddać się zupełni, w opiekę Boską. A z Boską pomocą wrócą czasy jakie mieliśmy, gdy ludzie Bogu, a nie szatanowi wiernie służyli”.

Przejście z parafji do społeczeństwa amerykańskiego to przebycie tej przepaści. Przejście ze szkoły parafjalnej do publicznej „high school”, to przejście z jednego świata społeczno-kulturalnego i religijnego do innego. Jest to droga konfliktów. Młodzież polskich parafii katolickich kieruje się chętnie do katolickich szkół średnich, jeżeli stać ją na to. a nieliczne jednostki idące do uniwersytetów, wybierają uniwersytety katolickie. W wyborze tym momenty religijne ściśle łączą się ze społecznymi. Protestanci stanowią bowiem arystokrację Ameryki, a Kościół katolicki skupia imigrancką biedę z krajów łacińskich i słowiańskich.

Nie wszyscy jednak idą utartymi torami. A siła atrakcyjna amerykanizmu zwłaszcza dla młodzieży jest kolosalna. W 1932 r. z 17 001 uczniów, którzy ukończyli parafjalne szkoły katolickie w archidiecezji chicagoskiej, 2 972 nie kontynuowało wogóle nauki, 6 481 kontynuowało naukę w katolickich „high schools”, a 7 545 w publicznych „high schools”.

Amerykanizm posiada zbył wiele siły atrakcyjnej, ażeby nie wywierać wpływu na parafie polsko-katolickie. Nie tylko świecka część społeczeństwa katolickiego poddaje się amerykanizacji. „Ksiądz — jak słusznie pisze Siegfried - który stara się uchronić swoją

parafię od zbyt szybkiej amerykańskiej, sam jest w swoich poglądach na życie i w codziennych nawykach zupełnym Amerykaninem. Jest businessmanem, który administruje swoją parafią w ten sam sposób, jak to czynią najpraktyczniejsi moderniści. Nie tylko w swojej parafii, ale także w kościelnych instytucjach przyzwyczajony jest do komfortu, którego nie zamierza wyzbyć się. Wymaga centralnego ogrzewania, łazienek, a „w podróży, wygodnych foteli. Co więcej, zaczął już pogardzać swoimi europejskimi kolegami z powodu ich ubóstwa. Poor fellow, I am sorry for him, (Biedak, szkoda mi go bardzo) — myśli o wiejskim proboszczu we Francji... Jak każdy dobry Amerykanin, sądzi on, że intensywność religijnego życia mierzy się pojemnością kubiczną budynków kościelnych, a medytacja i mistyczny spokój wydają mu się niewiele lepsze od zjawisk patologicznych.”

### **17. Społeczny produkt parafii.**

Jaki jest społeczny produkt szkoły parafialnej, czyli jakich ludzi szkoła parafialna urabia? Odpowiedź, jaką dać można na to pytanie na podstawie istniejącego materiału, nie może być ani ścisła, ani wyczerpująca. Przede wszystkim, młodzieniec opuszczający szkołę, nie jest produktem samej szkoły, lecz łącznym produktem całego środowiska parafii, i samej szkoły nie można czynić wyłącznie odpowiedzialną za jakość tego produktu. Dlatego też w dalszym ciągu będę mówił o społecznym produkcie parafii, a nie samej szkoły.

Po wtóre, wyczerpująca odpowiedź na to pytanie wymaga bogatych danych dotyczących poszkolnych dziejów młodzieży, a takimi materiałami, których zgromadzenie wymagało dużo pracy technicznej, nie rozporządzam. Trzeba by wreszcie przeprowadzić badania porównawcze nad dziećmi emigracji polskiej przechodzącymi przez szkołę publiczną oraz temi, które przechodzą przez polskie szkoły parafialne. Wszystko to wykraczało poza możliwości, jakimi rozporządzałem. Niemniej materiały, jakie zebrałem rzucają dość jaskrawe światło na pewne właściwości typu społecznego urabianego przez wpływy parafii, krzyżujące się z wpływami szerszego środowiska amerykańskiego. Orientują one mianowicie w ustosunkowaniu się parafianina (mam na myśli jednostki urodzone w parafii polskiej i wychowane przez jej tradycje i instytucje,) do Polski i jej kultury z jednej strony, a do Ameryki i jej kultury z drugiej.

Odwiedzając rodziny i rozmawiając w klubie z chłopcami w wieku lat 17—20. którzy pokończyli szkołę parafjalną zadawałem chłopcom w rozmowie pytania. Na 19 rozmów zanotowanych (bez dokonywania selekcji) 8 nie potrafiło odpowiedzieć w ogóle na pytanie, kto to był Jan Sobieski; 6 innych odpowiedziało, że był królem, ale nie wiedzieli jakiego narodu. Nr. 1., który początkowo odpowiedział, że nie wie, kto to był Jan Sobieski, poprawił się następnie i powiedział, że Jan Sobieski był królem. Na pytanie jakim królem, odpowiedział — rzymskim. Nr. 6 i 1 wiedzieli, że Sobieski był królem polskim, ale nie wiedzieli nic o bitwie pod Wiedniem. Pozostałych o Sobieskiego nie pytałem; czyli z zapytanych o Sobieskiego, żaden nie dał mi odpowiedzi poprawnej.

Rola ojca w przekazywaniu tradycji historycznych jest znacznie większa, niż matki. Nie spotkałem się ani razu z opinią, ażeby matka była źródłem jakiejś wiedzy historycznej.

Odpowiedź jednego z chłopców, że matka „to nam opowiada, jak to szli na pasterkę do kościoła; albo na Wielkanoc, albo też jak w całej kompanii szli” wskazuje, zdaje się, na główny kierunek wychowawczych funkcji matki w parafiach. Matka nr. 15 i 16, osoba bardzo poprawnie mówiąca po polsku, mówiła mi o swojej znajomej, że bardzo się jej na Wawelu podobało „tam, gdzie te królowie mają swoje letnie mieszkania”.

Polska rodzina emigrancka nie posiada głębszych tradycji narodowych: jej „starokrajskie” tradycje, to tradycje wioski ciemnej, upośledzonej społecznie i pełnej zabobonu. Pytałem Nr. 11, kto mu mówił o tych czarownicach w PoLsce. „Ojciec nam opowiadał — odpowiedział — a i brat, co trzy lata temu przyjechał, to też mówił, że tam są takie co przeminiają”. A pan wierzył w to? „Ja tego nie widział, to nie mógł powiedzieć, czy to je prawda czy nic i dlatego pana się o to zapytał.

Wiedza o Polsce młodzieży polsko-amerykańskiej, urodzonej już w Ameryce, nie sięga wiele poza to, co z wioski rodzinnej przynieśli rodzice. Dziewczynki ze szkoły parafialnej w Buffalo nie chciały uwierzyć, że przyjechalibyśmy z Polski. „Nieprawda, bo pani jest po angielsku ubrana, w starym kraju takich nie noszą, mówiły (pokazując na krótką suknię żony; „tylko do samej ziemi i szerokie”.

„Starokrajskie” tradycje społeczne, obyczajowe i kulturalne posiadają w oczach młodzieży cechy niższości. Chciałby pan do Polski pojechać i tam zamieszkać, pytam jednego z moich rozmówców. „Nie — odpowiada bez namysłu — ja świniów i bydła paść nie chcę.” „Tam są funny (śmieszni) ludzie — mówi Nr. 3 „ — Porządku nimo żadnego, brudno, jedzą bardzo marnie, a w mliku — mówi — to tyle muchów było, że un aż nie mógł tego jeść. To mu się to bardzo nie podobało.” „I like this country — kontynuował — old country people are very funny. My brother told me that going to the church they take their shoes off and put them on just before entering the church, isn't it funny.”

Patrząc na Polskę przez pryzmat tradycji ustnych rodziny, młodzież polsko-amerykańska odsuwa się uczuciowo od Polski, gdyż rodzina „starokrajaska” reprezentuje ten świat społeczno-kulturalny, dla którego przeciętna Ameryka żywi jak najczęściej pogardę. W czasie jednej z pierwszych moich wizyt u jednego z zamożniejszych mieszkańców dzielnicy, ojciec prosił mnie, abym pozwolił pokazać się córce (która wówczas kończyła high school, ażeby się przekonała, że Polak jest podobny do Amerykanina: ażeby nie myślała, że Polacy to sama taka dzicz, jak w Bushu (parafii Sw. Michała). Kiedy zaś pierwszy raz rozmawiałem ze stryjem Nr. 1a, który mieszka w Ameryce od 30 lat, i ten dowiedział się, że nie mam rodziny w Ameryce i że przyjechałem dla studiów, to powiedział: „Sam przyjechał, nie bał się. To w ty Polsce nie sami głupi mieszkają.”

Przeszłość społeczno-polityczna Polski z okresu zaborów jest zupełnie obca duchem młodzieży polskiej, zrodzonej już w Ameryce. Polsko - amerykańska młodzież czuje się upośledzona w Ameryce i szuka instynktowo dróg wyjścia z tego upośledzenia. Tymczasem dzieje narodu ciemniejszego nie dodają otuchy i nie sprzyjają powstaniu dumy narodowej, przynajmniej na tym poziomie niedojrzałości historyczno-kulturalnej, z jakim młodzież opuszcza szkołę parafialną.

Nic też dziwnego, że w tradycjach starokrajskich młodzież nie znajduje nic pociągającego. „Nas to tam nie obchodzi, jak w starym kraju było” — mówi Nr. 7. „This stuff is for nothing in this country; you do not need it — mówi Nr. 3. 19-letni rezolutny chłopiec, dwa lata po ukończeniu szkoły parafialnej. Why must one learn the history, even the United States history, not only Polish history. We do not need this stuff. The same geography. Grammar, writing, reading, arithmetic that's what we need.”

„Why must one learn the history”? Dlaczego ma się ktoś uczyć historii? Pytanie to najdosadniej oddaje tragedię młodego polsko-amerykańskiego pokolenia. To są ludzie bez historii. Wszystko czego by się nie uczyli w historii polskiej, to nie byłaby ich historia. Mieszko I, Jagiełło, Sobieski, bitwa pod Wiedniem, to nie są dla nich symbole społeczne, jak zresztą nigdy tym nie były dla polskiego ludu. Historia polska, to jest dla nich historia kraju, który nie tylko ich rodziców nie był w stanie wyżywić, ale w którym, jak się jeden wyraził „ludzie żyją jak bydło”.

Dla tego pokolenia nie tylko historia Polski nie ma sensu, ale i historia Stanów Zjednoczonych. „Even the United States history, not only Polish history“ — powiada wymownie Nr. 3. „We do not need this stuff.” Oni się nigdy nie liczyli w Polsce; a jeszcze nie liczą się w Ameryce. Tam i tu nie mieli jeszcze swojej historii: dzieci „białych murzynów”, jak się zwykło Polaków nazywać w Ameryce do Wojny.

Z tą bezhistorycznością emigracji polskiej, a zwłaszcza jej młodego pokolenia, wiąże się ściśle brak zainteresowania dla nauki języka polskiego na wyższym poziomie. Język polski jest dla młodego pokolenia językiem rodzinnym. Niezbędny jest do porozumienia się z rodzicami i krewnymi i do korespondencji z rodziną w starym kraju. Czy uważa się Pan za Amerykanina czy za Polaka — zapytałem Nr. 7. „Sure, American” („oczywiście za Amerykanina”) odpowiedział. Jeżeli tak, to czy nie lepiej wysłać dzieci do angielskiej szkoły? „Better to parochial” („lepiej do parafialnej”) odpowiada. A gdzie pan pošle swoje dzieci? „Sure to parochial school” („oczywiście do parafialnej szkoły”). Dlaczego? „Because they teach English and Polish” (ponieważ oni uczą się tam angielskiego i polskiego”). Po co uczyć się polskiego, jeśli jest pan Amerykaninem i mieszka w Ameryce? „If they know only English — odpowiada — they can not talk to Polish cousins and relatives who visit them.”

Z licznych skarg rodziców, jakie słyszałem, na nieumiejętność napisania listu polskiego do rodziny, wynikałoby, że tej umiejętności rodzice przede wszystkim oczekują od dzieci swoich ze szkoły parafialnej.

Rzecz to łatwo zrozumiała: społeczne funkcje języka zależą od charakteru grupy społecznej. W kolonjach polskich, które są społecznościami typu rodzinno-sąsiedzko-parafialnego, funkcje języka są rodzinno-sąsiedzko-parafialne. Język nie jest dla nich kluczem do historii narodu ani do jego piśmiennictwa; a cała niemal historia tych kolonii polskich wyczerpuje się w tradycji ustnej i piśmiennictwa nie posiadają. Do narodu polskiego duchowo nigdy jeszcze w większości nie należeli, i w jego historii nie liczyli się.

W środowisku zaś polsko-amerykańskim elementarna znajomość języka polskiego wystarcza; a do wybicia się wśród Amerykanów jest zgoła niepotrzebna. Jakie racje uczenia się po polsku może dać ojciec synowi (poza wymienionymi już racjami

rodzinnymi), które mogłyby syna przekonać o sensowności uczenia się po polsku. Jeden taki wymowny argument powtarzany synowi słyszałem. „Ucz się po polsku — mówił ojciec do syna — to zostaniesz tłumaczem u Śmietanki”.

## 18. Dalsze tendencje rozwojowe.

Taka jest parafia i jej szkoła wśród emigracji polskiej w Ameryce. Nie wszystkie parafie są jednakowe i potrzeba więcej studiów o różnych parafiach, ażeby obraz można było uogólnić. Problem jest jednak tak interesujący teoretycznie, i nie bez znaczenia praktycznego, że zasługuje na badanie. Mamy tu do czynienia z przeniesieniem do obcego środowiska pewnej tradycyjnej formy społecznej, jaką jest parafia, i z przeobrażeniami tej formy w nowych warunkach. Widzieliśmy jak forma ta wśród emigracji rozwinęła cały szereg funkcji w zakresie różnych sfer życia (towarzyskiego, ekonomicznego, politycznego, wychowania młodzieży), których w kraju macierzystym albo wogóle nie posiadała, albo posiadała je w znacznie ciaśniejszym zakresie. W pomyślnych dla parafii warunkach, bez dostatecznie silnej rywalizacji ze strony innych grup społecznych, funkcje społeczne parafii rozrosły się do rozmiarów, nieznanymi w Polsce w czasach obecnych. Jako zjawisko socjologiczne, czyli jako typ skupienia społecznego, polskie dzielnice skupiające się przy parafiach są najbliższej spokrewnione z żydowskimi ghetami. Podobne ghetta wytworzyły także inne narodowości zwłaszcza Chińczycy (Chinatown) i Włosi („Little Sicily”, „Mała Sycylia” i inne) w Chicago i innych miastach amerykańskich.

W obecnej swojej postaci parafie polsko-amerykańskie są zjawiskiem przejściowym. Ich społeczno-kulturalna izolacja z wolna ustępuje, a łącznie z tym procesem dokonywa się stopniowo redukcja pierwotnych społecznych funkcji parafii. Jedną z dominujących obecnie tendencji w tym zakresie jest odnarodowienie się parafii polskich, czyli ich językowe amerykańskizowanie się. Wprowadzenie nauki katechizmu po angielsku w r. 1932 do parafii Św. Michała jest przykładem ogólnego kierunku w jakim postępuje ewolucja polskich parafii. To co tradycyjnie w parafiach tych było związane: poczucia narodowe polskie i religia katolicka obecnie rozdziela się coraz wyraźniej. Obrona i rozwój świadomości narodowej odpada z funkcji społecznych parafii i szkół parafialnych, a pozostaje tylko utrzymanie emigracji polskiej przy kościele Rzymsko-katolickim.

Konflikt pomiędzy dążeniami narodowymi polskimi, a rzymsko-katolickimi który występował wyraźnie zarówno od początków istnienia parafii w Poł. Chicago, jak i w życiu zbiorowym Polonji amerykańskiej w ogóle, obecnie występuje w niemiłej wyraźnej postaci. Dał temu wyraz S. Osada jeden z wybitnych działaczy narodowo-demokratycznych w ostatniej swojej publikacji p.t. *Jak się kształtowała polska dusza wychodźta w Ameryce* (1930).

„Z wszystkich pomysłów — pisze — jak ratować zagrożoną polskość Wychodźstwa najgłębiej może sięgały pozornie najprostsze plany ks. Wacława Kruszki. Opierając się na twierdzeniu, że najpotężniejszymi twierdzami polskości w Stanach Zjednoczonych, są w założeniu swem polskie parafie, domagał się on połączenia ich w polskie diecezje pod rozkazami polskich biskupów.

W takim wypadku także majątki parafii polskich stanowiące obecnie wspólną własność Kościoła Katolickiego w Ameryce i zapisywane na poszczególnych biskupów nicpolaków, przeszłyby pod administrację polską.

W takim wypadku i seminaria duchowne, w których się wychowuje w duchu amerykańskim młodzież polską, sposobiącą się do stanu kapłańskiego, byłyby w duchu polskie.

W takim wypadku szkoły parafialne polskie przyspasabiające naszą działalność podobnie jak dziś do życia w Ameryce, pracowałyby z całych sił nad wszczęciem w nią równocześnie jak najgruntowniejszej znajomości języka polskiego, a klasztory kształcące siostry nauczycielki w tym kierunku, aby je do takiej pracy przygotować.

Ks. Wacław Kruszką, uzasadnienie do takiego stawiania tej kwestii niewątpliwie bardzo zasadniczej, znajdował zarówno w Piśmie Św., jak w uchwałach synodów i całej tradycji Kościoła Katolickiego. Odwoływał się nawet na uzyskaną przed dwudziestu kilku laty osobiście obietnicę Ojca Św. w Rzymie, że prośby Wychodźstwa będą wysłuchane w myśl naszych życzeń.

Ostatnio jeździł także i gorąco zabiegał o to, by dla tego planu pozyskać hierarchję Kościoła Katolickiego w Polsce.

I plany te dałyby się może przeprowadzić w rzeczywistości, gdyby temu gorącemu obrońcy polskości Wychodźstwa udało się było dla nich pozyskać jednogłośnie zgodę i poparcie całego duchowieństwa polskiego w Ameryce.

Niestety o ile wiem, nie miał takiej odwagi poza ks. Wacławem Kruszką ani jeden ksiądz polski.

Obecnie po fakcie zorganizowania się Centrali naszych podstawowo katolickich organizacji i poddaniu jej całkowicie z pełną uległością pod taką samą jurysdykcję hierarchii Kościoła Katolickiego w Ameryce, pod jaką już od dawna zasadniczo znajdują się wszystkie nasze parafie, znika ostatni grunt na którym można jeszcze było marzyć, że przy przychylnym zbiegu okoliczności, te zbawienne dla polskości plany ks. Kruszki mogłyby znaleźć pewne oparcie.

Ale tu jeszcze nie koniec konsekwencjom z faktu zorganizowania tej Centrali „podstawowo katolickiej” wpływającym.

Traci grunt pod nogami nie tylko ks. Wacław Kruszką. Traci go do pewnego stopnia nawet Zjedn. Kapłanów Polskich, oraz najpotężniejsza nasza podstawowo-katolicka organizacja — Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie, które z chwilą powstania tej Centrali musiało wymazać ze swojego programu, zabiegi o równouprawnienie kleru, czyli o polskich biskupów, tracimy my wszyscy, bo nigdzie już nie ma podstawy do obrony, ujednostajnienia i regulowania choćby tylko wykładów religii w języku polskim, podług jednego planu we wszystkich diecezjach.

Jesteśmy pod tym względem w zupełności zdani na łaskę i dobrą wolę biskupów amerykańskich.

Nowa Centrala podstawowo-katolickich organizacji, może urządzać pielgrzymki do Rzynui, może pomagać w organizowaniu nowych parafii (które obecnie już prawie wszędzie muszą być terytorialne — jak Teklowo w Chicago), nawet w budowie nowych szkół parafialnych, nawet starać się o podtrzymanie polskości tak szkół jak i samych parafii, ale tylko w takim zakresie, na jaki łaska i dobra wola danego biskupa pozwoli.

W tych warunkach o organizowaniu walki o polskość Wychodźstwa na terenie katolickim nie może być mowy. Że zaś bez walki i to zacieklej w jej obronie nie może być mowy o zwycięstwie, przeto trzeba ją przenieść wszędzie tam, gdzie ją toczyć można i stawiać wały ochronne tam, gdzie je stawiać będziemy mogli według naszych własnych planów i potrzeb.”

Wyższa hierarchja kościelna amerykańska, składająca się z katolików Niemców i Irlandczyków sprzeciwia się utrzymywaniu polskiego charakteru parafii; ona też nadaje kierunek wychowaniu proboszczów dla parafii polskich. „Twierdzenie moje — pisał ks. Kruska, jeden z najwybitniejszych działaczy polskich wśród emigracji i historyk emigracji — że nie sami rodzice lecz przede wszystkim biskupi i proboszczowie są winni temu, iż nie ma w Ameryce dosyć polskich szkół parafialnych, opiera się na niezbitych faktach.”

Wszelkie wątpliwości co do tego rozprasza oświadczenie naczelnego inspektora (suprintendenla) szkół katolickich w Chicago Ks. D. F. Cunninghama, że „utrzymywanie granic narodowych jako trwałych instytucji nie leży po linii polityki administracji szkolnej...Katolickie władze szkolne patrzą przychylnie na eliminowanie granic narodowych”. Zgodnie też z tym kierunkiem nowe parafie zakłada się już na zasadach terytorialnych a nie narodowych. Z 26 parafii katolickich założonych w Chicago od 1920 r., jedna była francuska i angielska, dwie słowackie, dwie polskie, a reszta „kosmopolityczne”, lub amerykańskie.”

Tendencje do językowego zamerykanizowania parafii i szkół parafialnych polskich wychodzą równocześnie od góry: od kierownictwa Kościoła Katolickiego w Ameryce i od dołu: od samych parafian. Amerykanizujące się młodsze pokolenie domaga się kazań i szkół parafialnych w języku angielskim. Na żądanie parafian język polski usunięty został z polskiej parafii i szkoły parafialnej św. Tekli. „Tak samo jak usunięty został z najstarszych w Chicago kościołów katolickich niemieckich St. Peters's i St. Patrick's. Amerykanizowanie się parafii nie jest zjawiskiem odosobnionem: występuje we wszystkich grupach językowych.

Odosobnione wysiłki księży patriotów jak np. w parafii N.P.N.M.P., gdzie wobec proboszcza nie wolno wikariuszom rozmawiać po angielsku nie potrafi powstrzymać prądu językowego amerykanizowania się.

Trzeba jednak dodać, że szkoła katolicka nawet w języku angielskim wstrzymuje proces asymilowania się Polaków, nie tylko dlatego, że izoluje ich od szkół publicznych, lecz przede wszystkim dlatego, że jest katolicka. Katolicyzm jest najważniejszą przegrodą, dzielącą emigrację polską od Ameryki. Społeczeństwo amerykańskie widzi zasadniczą sprzeczność pomiędzy tradycjami społecznymi Kościoła Katolickiego, a

tradycjami Ameryki: pomiędzy podstawowymi założeniami demokracji amerykańskiej, do których należy rozdział Kościoła od państwa, a społeczno-politycznymi zasadami Kościoła. Kościół Katolicki potępia zasady ustrojowe Stanów Zjednoczonych i w tym duchu wychowuje w swoich szkołach.

„Czy państwo może oddzielić się od (Rzymskiego) Kościoła?” — czytamy w oficjalnym podręczniku dla szkół katolickich. „Nie — brzmi odpowiedź — ponieważ nie może się wyłamać spod najwyższej władzy Chrystusa.” „Jaka jest nazwa doktryny, która głosi, że państwo nie ma prawa ani obowiązku wiązać się z Kościołem dla opiekania się nim?” „Doktryna ta nazywa się liberalizm. Opiera się ona głównie na fakcie, że nowoczesne społeczeństwo opiera się na wolności sumienia i kultu, na wolności słowa i prasy.” „Dlaczego liberalizm należy potępić?” „Ponieważ zaprzecza wszelkiemu podporządkowaniu się państwa Kościołowi; ponieważ miesza wolność z prawem; ponieważ gardzi społecznym panowaniem Chrystusa i odrzuca korzyści z niego płynące.”

Przegraną A. Smitha, jednego z najwybitniejszych polityków amerykańskich, w wyborach prezydenckich w 1928 r. przypisuje się powszechnie jego przynależności do Kościoła Rzymsko-katolickiego. Popularny argument propagandowy przeciwko Smithowi głosił, że na stanowisku prezydenta Stanów będzie on wykonywał polecenia Papieża.

Ani jeden prezydent Stanów Zjednoczonych nie był katolikiem. Ośmiu, wraz z Waszyngtonem, należało do Kościoła Episkopalnego; sześciu wraz z Wilsonem, było członkami Kościoła Prezbiterialnego; pięciu było metodystami; czterech — unitarianami; trzech z dwoma Rooseveltami — należało do holenderskiego reformowanego Kościoła; jeden był „ucznem Chrystusa”; Coolidge — kongregacjonalistą; Harding — baptystą; Hoover — kwakerem; a dwóch z najznakomitszych prezydentów demokracji amerykańskiej Jefferson i Lincoln nie należeli do żadnego Kościoła.

Dwie też naczelną tendencje składają się na zasadniczy kierunek dalszego rozwoju polskich parafij i szkół parafialnych w Ameryce: (1) pozbawienie szkół parafialnych charakteru narodowego polskiego i (2) zapobiegnięcie rozpuszczeniu się polskiej emigracji w protestanckiej lub świeckiej Ameryce, a utrzymanie jej przy Kościele Rzymsko-katolickim.